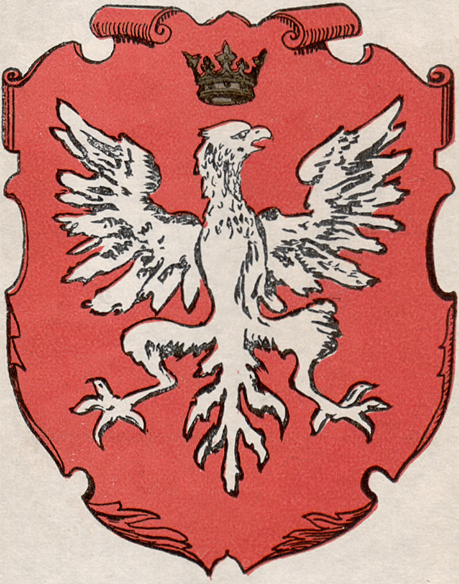
Henryk Sienkiewicz



# POTOP

VIII



Szymon St. Deptuła

HENRYK SIENKIEWICZ

# POTOP

POWIEŚĆ

WYDANIE Z OBJAŚNIENIAMI I MAPAMI

TOM VIII



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1936

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ
ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WE LWOWIE



15/1936
Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego

## ROZDZIAŁ I.

Kmicica i Kiemliczów szparko[1] konie niosły do granicy śląskiej. Jechali ostrożnie, by się z jakim podjazdem szwedzkim nie spotkać, bo jakkolwiek chytrzy Kiemlicze mieli „passy“[2], wydane przez Kuklinowskiego, a podpisane przez Müllera, jednakże żołnierzy, nawet zaopatrzonych w podobne dokumenta, poddawano, zwykle badaniu, takie badanie zaś mogło źle wypaść dla pana Andrzeja i jego towarzyszów. Jechali więc śpiesznie, by granicę przejść jak najprędzej i w głąb cesarskiego kraju się zasunąć. Same brzegi graniczne nie były także od „grasantów“ [3] szwedzkich bezpieczne, a częstokroć i całe oddziały rajtarów zapuszczały się na Śląsk, by imać tych, którzy się do Jana Kazimierza przebierali. Ale Kiemlicze, przez czas postoju pod Częstochową, zatrudnieni ustawicznie łowami na pojedynczych Szwedów, przeznali już nawskroś całą okolicę, wszystkie graniczne drogi, ścieżki i przechody, na których połów bywał najobfitszy, i byli jakby we własnym kraju.

[1] szybko. [2] przepustki. [3] włóczących się żołnierzy.

Przez drogę opowiadał stary Kiemlicz panu Andrzejowi, co słychać w Rzeczypospolitej, pan Andrzej zaś, zamknięty przez tak długi czas w fortecy, słuchał tych nowin chciwie i o bólu własnym zapomniał, gdyż były one nader dla Szwedów niepomyślne i zwiastowały bliski już koniec panowania szwedzkiego w Polsce.

— Wojsko już sobie przykrzy szwedzką fortunę i szwedzką kompanję, — mówił stary Kiemlicz, — a co dawniej żołnierze gardłem hetmanom grozili, gdyby się nie chcieli ze Szwedem połączyć, tak teraz sami do pana Potockiego instancje wnoszą i deputacje wysyłają, żeby Rzeczpospolitą z opresji ratował, przysięgając wszyscy do gardła przy nim stać. Niektórzy też pułkownicy na swoją rękę poczęli Szwedów podjeżdżać.

— Któren-że pierwszy począł?

— Jest pan Żegocki, starosta babimojski, z panem Kuleszą. Ci w Wielkopolsce rozpoczęli i znacznie Szwedów konfundują; siła mniejszych oddziałów jest w całym kraju, ale nazwisk przywódców ciężko wiedzieć, gdyż oni umyślnie ich nie powiadają, a to dlatego, by swoje rodziny i substancje od pomsty szwedzkiej uchronić. Z wojska pierwszy się podniósł ten pułk, któremu pan Wojniłłowicz pułkownikuje.

— Gabrjel?... Toż to mój krewny, chociaż go nie znam!

— Szczery to żołnierz. On to partję zdrajcy Prackiego starł, która Szwedom służyła, i samego rozstrzelał, a teraz ku górom srogim poszedł, które za Krakowem leżą; tam oddział szwedzki zniósł i góralów ratował, w ucisku od Szwedów będących...

— To zaś i górale Szwedów już biją?

— Oni najpierwsi zaczęli; jako to głupie chłopstwo, chcieli zaraz Kraków siekierkami odbierać, których jenerał Duglas rozproszył, gdyż oni w równinach eksperjencji żadnej nie mają, — ale co w góry za nimi kilka partyj posłali, to z tych żaden człowiek nie wrócił. Teraz pan Wojniłłowicz ono chłopstwo wspomógł, sam zaś do pana marszałka do Lubowli poszedł i z jego się wojskami połączył.

—• Zali pan marszałek Lubomirski przeciw Szwedom stoi?

— Różnie o nim gadali, że się i na tę i na tę stronę namyślał, ale jak już poczęto w całym kraju na koń siadać, tak i on się na Szwedów zawziął. Możny to pan i siła złego może im uczynić! Sam on jeden mógłby z królem szwedzkim wojować. Powiadają też ludzie, że do wiosny ani jednego Szweda w Rzeczypospolitej nie będzie...

— Da Bóg, że się to stanie!

— Jakże ma być inaczej, wasza miłość, skoro za oblężenie Częstochowy wszyscy się przeciw nim zawzięli. Wojsko się buntuje, szlachta bije ich już, gdzie może, chłopstwo

się w kupy zbiera, a do tego Tatarzy idą, idzie chan własną osobą, który Chmielnickiego i Kozaków pobił i obiecał ich zeszczętem zetrzeć, chyba, że na Szwedów’ ruszą.

— Ale i Szwedzi mają jeszcze znacznych stronników między panami a szlachtą?

— Ten się ich jeno trzyma, kto musi, a i tacy pory tylko wyczekują. Jeden książę wojewoda wileński szczerze do nich przystąpił, to też na złe mu to wyszło.

Kmicic aż konia wstrzymał i jednocześnie za bok się uchwycił, bo go ból srogi przeszył.

— Na Boga! — zawołał, stłumiwszy jęk — gadajże mi, co się z Radziwiłłem dzieje? Zali ciągle siedzi w Kiejdanach?

— Wieżo z kości słoniowej!—rzekł stary,— tyle ja wiem, co ludzie gadają, a Bóg wie, czego nie gadają. Mówią jedni, że książę wojewoda już nie żywię; inni, że się jeszcze panu Sapieże broni, ale ledwie tchnie. Podobno na Podlasiu się ze sobą mocowali i pan Sapieha zmógł, bo Szwedzi nie mogli księcia wojewody ratować... Teraz prawią, że w Tykocinie przez pana Sapiehę oblężon i[1] że już po nim.

— Chwała Bogu! Zacni triumfują nad zdrajcami!... Chwała Bogu! chwała Bogu!

Kiemlicz popatrzył zpodełba na Kmicica i sam nie wiedział, co ma myśleć. Przecie wiadomo było w całej Rzeczypospolitej, że jeżeli

Radziwiłł zatriumfował z początku nad swemi własnemi wojskami i nad szlachtą, która szwedzkiego panowania nie chciała, to stało się to w znacznej części dzięki Kmicicowi i jego ludziom.

Lecz z tą myślą stary nie zdradził się przed swym pułkownikiem i jechali dalej w milczeniu.

— A co się dzieje z księciem koniuszym? — spytał wreszcie pan Andrzej.

— Nie słyszałem o nim nic, wasza miłość — odrzekł Kiemlicz. — Może jest w Tykocinie, a może u elektora. Teraz tam wojna i król szwedzki osobą własną do Prus wyruszył, a my tymczasem naszego pana wyglądamy. Daj go Bóg! bo niechby się tylko pokazał, wszyscyby co do jednego człeka przy nim stanęli i wojskoby zaraz Szwedów opuściło.

—• Pewnież tak?

— Wasza miłość! ja wiem tylko to, co ci żołnierze mówili, którzy pod Częstochową stać musieli. Jest tam grzecznej jazdy na kilka tysięcy pod panem Zbrożkiem, pod panem Kalińskim i innymi pułkownikami. Śmiem powiedzieć waszej miłości, że żaden tam z dobrej woli nie służy, chyba grasanci Kuklinowskiego, bo ci chcieli się skarbami jasnogórskiemi obłowić. Ale co zacni żołnierze, to tylko lamentowali i jeden przed drugim narzekał : „Dość nam tej służby żydowskiej! Niech jeno pan nasz nogą granicę przestąpi,

wraz szable na Szwedów obrócimy, ale póki go niema, jak nam poczynać? gdzie iść?“ Tak oni narzekali, a po innych pułkach, które są pod hetmanami, gorzej jeszcze. To wiem pewno, bo przyjeżdżali od nich deputaci do pana Zbrożka z namowami i tam sekretnie po nocach radzili, o czem Müller nie wiedział, chociaż i on czuł, że źle koło niego.

— A książę wojewoda wileński w Tykocinie oblężon? — spytał pan Andrzej.

Kiemlicz znów spojrzał niespokojnie na Kmicica, bo pomyślał, że go chyba gorączka chwyta, skoro dwa razy każę sobie jedną i tęż samą wiadomość powtarzać, o której dopiero co była mowa, — jednakże odpowiedział:

— Oblężon przez pana Sapiehę.

— Sprawiedliwe sądy Boże! — rzekł Kmicic. — On, który mógł potęgą z królami się równać!... Nikt-że przy nim nie został?

— W Tykocinie jest załoga szwedzka. A przy osobie księcia wojewody tylko się pono trochę dworzan co wierniejszych zostało.

Kmicica pierś napełniła się radością. Bał się pomsty strasznego magnata nad Oleńką, a chociaż zdawało mu się, że tej pomście pogróżkami swemi zapobiegł, ciągle przecie trapiła go ta myśl, że lepiej i bezpieczniej byłoby Oleńce i wszystkim Billewiczom mieszkać w lwiej jamie, niż w Kiejdanach, pod ręką księcia, który nigdy nikomu nie przebaczył. Teraz jednak, gdy on upadł, musieli tem sa-

lnem przeciwnicy jego triumfować; teraz, gdy go pozbawiono sił, znaczenia, gdy był panem jednego tylko lichego .zameczka, w którym życia własnego i wolności bronił, nie mógł przecie myśleć o zemście; ręka jego przestała ciężyć nad nieprzyjacioły.

— Chwała bądź Bogu! Chwała bądź Bogu! — powtórzył Kmicic.

I tak miał głowę zaprzątniętą tą zmianą radziwiłłowskich losów, i tern, co się przez cały czas jego pobytu w Częstochowie zdarzyło, i tern, gdzie jest ta, którą pokochało jego serce, i tem, co się z nią stało, — że po raz trzeci spytał Kiemlicza:

— Mówisz tedy, że książę złamań?

— Złamań zeszczętem •— odpowiedział stary. — Czy wasza miłość nie chory?

— Bok jeno piecze. Nic to! — odrzekł Kmicic.

I znów jechali w milczeniu. Strudzone konie zwalniały stopniowo kroku, aż wreszcie poczęły iść stępą. Jednostajny ruch ten uśpił znużonego na śmierć pana Andrzeja, — i spał długo, kiwając się na kulbace. Zbudziło go dopiero białe światło dzienne.

Obejrzał się ze zdziwieniem dokoła, bo zdało mu się w pierwszej chwili, że wszystko, co tej nocy przeszedł, to był tylko sen; wreszcie spytał:

—— To wy, Kiemlicze? My z pod Częstochowy jedziem?

— A jakże, wasza miłość!

— A gdzie jesteśmy?

— Oho! już w Śląsku. Już nas tu Szwedzi nie dostaną!

— To dobrze! — rzekł Kmicic, oprzytomniawszy zupełnie. — A gdzie nasz miłościwy król rezyduje?

— W Głogowej.

— Tam też pojedziemy panu do nóg się pokłonić, służby ofiarować. Ale słucliaj-no, stary!

— Słucham, wasza miłość!

Lecz Kmicic zamyślił się i nie odrazu mówić począł. Widocznie coś w głowie układał, wahał się, rozważał, nakoniec rzekł:

— Nie może być inaczej!

— Słucham, wasza miłość! — powtórzył Kiemlicz.

— Ni królowi, ni nikomu z dworskich nie pisnąć, ktom jest!... Zwę się Babinicz, a jedziem z Częstochowy. O kolubrynie i o Kuklinowskim możecie mówić... Ale nazwiska mego nie wspominać, żeby tam moich intencyj nawspak nie wzięto i za zdrajcę mnie nie poczytano, — bom ja w zaślepieniu księciu wojewodzie wileńskiemu służył i jeszcze mu pomagał, o czem na dworze mogli słyszeć.

— Panie pułkowniku! Po tern, czego wasza miłość pod Częstochową dokonał...

— A kto da świadectwo, że to prawda, póki klasztor oblężony?

— Stanie się wedle rozkazu.

— Nadbieży czas, że prawda nawierzch wyjdzie, — rzekł jakby do siebie Kmicic, — ale pierwej musi się pan nasz miłościwy sam przekonać... On też da mi później świadectwo!

Na tern urwała się rozmowa. Tymczasem uczynił się dzień zupełny. Stary Kiemlicz począł śpiewać godzinki, a Kosma i Damjan wtórowali mu basem. Droga była uciążliwa, bo mróz trzymał trzaskający, a przytem ustawicznie zatrzymywano jadących i wypytywano o nowiny, zwłaszcza zaś o to, czy Częstochowa broni się jeszcze. Kmicic odpowiadał, że się broni i obroni, lecz pytaniom nie było końca. Gościńce roiły się od podróżnych, gospody wszędzie po drodze pozajmowane. Jedni chronili się w głąb kraju z pogranicznych ziem Rzeczypospolitej przed uciskiem szwedzkim, drudzy pomykali ku granicom po wieści z kraju; raz wraz spotykano szlachtę, która mając dość Szwedów, jechała, tak, jak i Kmicic, służby wygnanemu panu ofiarować. Czasem trafiały się i poczty pańskie, czasem większe lub mniejsze oddziały żołnierzy, z tych wojsk, które bądźto dobrowolnie, bądź na mocy układów ze Szwedami przeszły granice, jak np. wojska pana kasztelana kijowskiego. Wieści z kraju jiuż były ożywiły nadzieje tych „exulów“, i wielu gotowało się do zbrojnego powrotu. W całym Śląsku, a zwłaszcza w księstwach raciborskiem i opolskiem,

gotowało się jak w garnku; posłańcy latali z listami do króla, i od króla do pana kasztelana kijowskiego, do prymasa, do pana kanclerza Korycińskiego, do pana Warszyckiego, kasztelana krakowskiego, pierwszego senatora Rzeczypospolitej, który ani na chwilę nie opuścił sprawy Jana Kazimierza.

Panowie ci, w porozumieniu z wielką królową, niezachwianą w nieszczęściu, porozumiewali się i ze sobą i z krajem i z przedniejszymi w nim ludźmi, o których wiedziano, że radzihy do wierności prawemu panu powrócić. Swoją drogą słał gońców i pan marszałek koronny i hetmani i wojsko i szlachta, gotująca się do chwycenia ,za broń.

Była to wilja do powszechnej wojny, która w niektórych miejscach już wybuchła. Szwedzi tłumili te miejscowe porywy bądź orężem, bądź siekierą kata, lecz ogień zgaszony w jednem miejscu, natychmiast zapalał się w drugiem. Burza straszliwa zawisła nad głowami skandynawskich najezdników; ziemia sama, lubo pokryta śniegami, poczęła parzyć ich stopy; groźba i pomsta otaczały ich ze wszystkich stron, straszyły ich cienie własne.

Więc chodzili jak błędni. Niedawne pieśni triumfu zamarły im na ustach, i sami pytali siebie z największem zdumieniem: „Jest-li to ten sam naród, który wczoraj jeszcze opuścił własnego pana, poddał się bez boju?“ — Jakże? panowie, szlachta, wojsko, niebywa-

łym w dziejach przykładem przeszli do zwycięzcy; miasta i zamki otwierały bramy; kraj był zajęty. Nigdy podbój nie kosztował mniej sił i krwi. Sami Szwedzi, dziwiąc się tej łatwości, z jaką zajęli potężną Rzeczpospolitą, nie mogli ukryć pogardy dla zwyciężonych, którzy za pierwszym połyskiem szwedzkiego miecza wyparli się króla, ojczyzny, byle życia i dostatków w spokoju zażywać, albo nowych w zamieszaniu nabyć. To, co w swoim czasie mówił cesarskiemu posłowi Lisoli Wrzeszczowicz, powtarzał sam król i wszyscy jenerałowie szwedzcy: „Niema w tym narodzie męstwa, niema stałości, niema ładu, niema wiary, ani patrjotyzmu! — muszą zginąć l“

Zapomnieli, że ten naród ma jeszcze jedno uczucie, to właśnie, którego ziemskim wyrazem była Jasna Góra.

I w tern uczuciu było jego odrodzenie.

Więc huk dział, który odezwał się pod świętym przybytkiem, odezwał się zarazem we wszystkich sercach magnackich, szlacheckich, mieszczańskich, i chłopskich. Okrzyk zgrozy rozległ się od Karpat do Bałtyku i olbrzym rozbudził się z odrętwienia.

— To inny naród! — mówili ze zdumieniem jenerałowie szwedzcy.

I począwszy od Arfuida Wittemberga, a skończywszy na komendantach pojedynczych zamków, wszyscy słali do bawiącego

w Prusach Karola Gustawa wieści pełne przerażenia.

Ziemia usuwała im się z pod nóg; zamiast dawnych przyjaciół, spotykali wszędy wrogów; zamiast poddania się, opór; zamiast obawy, dziką i gotową na wszystko odwagę; zamiast miękkości, okrucieństwo; zamiast cierpliwości, zemstę.

A tymczasem z rąk do rąk przelatywał tysiącami w całej Rzeczypospolitej manifest Jana Kazimierza, który poprzednio, już ze Śląska wydany, zrazu nie budził echa. Teraz przeciwnie, widywano go po zamkach jeszcze niezajętych. Gdzie tylko nie ciężyła szwedzka ręka, tam szlachta zbierała się w kupy i kupki i biła się w piersi, słuchając wzniosłych słów wygnanego króla, który, wytykając błędy i grzechy, rozkazywał nie tracić nadziei i do ratunku upadłej Rzeczypospolitej się zrywać.

„Nie minął jednak czas — (pisał Jan Kazimierz), — chociaż tak już daleko postąpił nieprzyjaciel, ahyśmy utraconych prowincyj i miast odzyskać nie mogli, i Bogu powinnej chwały powrócić, sprofanowane kościoły krwią nieprzyjacielską nasycić, a wolności i prawa dawne w klubę zwyczajną i staropolskie postanowienie wprowadzić nie mogli; byle się tylko ta staropolska cnota i ona starożytnych przodków Uprzejmości i Wierności waszych ku Panu obseryantia [1] i miłość, z ja-

[1] stałość.

kowej się przed różnemi narodami nasz dziad Zygmunt Pierwszy szczycił, powróciła. Przystąpiła już tedy pierwszych występków odmiana ku cnocie. Komu Bóg i wiara Jego święta pierwsza nad wszystko dobro, przeciwko temu szwedzkiemu nieprzyjacielowi Uprzejmości i Wierności wasze powstańcie. Nie czekajcie wodzów i wojewód, albo takiego porządku, jaki w pospolitem prawie opisany. Już teraz między Uprzejmościami i Wiernościami waszemi nieprzyjaciel wszystkie te rzeczy pomieszał: ale jeden do drugiego, trzeci do dwu, czwarty do trzech, piąty do czterech i tak per consequens [1], by też każdy i z własnymi poddanymi zgromadźcie się, a gdzie słuszna, na jaki opór zwiedźcie się. Tam sobie wodza obierzecie dopiero. Jedna do drugiej kupy wiążcie się i słusznie już z siebie wojsko uczyniwszy, wodza nad niem wiadomego obrawszy, osoby naszej poczekajcie, nie opuszczając okazji, gdyby się trafiła, do porażenia nieprzyjaciela. My, bylebyśmy o okazji i gotowości i skłonności ku nam Uprzejmości i Wierności waszych usłyszeli, zaraz natychmiast przybędziemy i zdrowie nasze tam położymy, gdzie zaszczycenie [2] całości ojczyzny potrzebować będzie“.

Uniwersał ten odczytywano nawet w obozie Karola Gustawa, nawet po zamkach szwedzkie

---

[1] dalej. [2] obrona.

załogi mających, i wszędzie, gdzie się tylko polskie chorągwie znajdowały. Szlachta łzami oblewała każde słowo królewskie, dobrego pana żałując i zaprzysięgała sobie na krzyżach, na wizerunkach Najświętszej Panny i szkaplerzach, woli jego uczynić zadość. Żeby zaś gotowości swej złożyć dowód, póki zapał tlał w sercach, a łzy nie obeschły, siadano, nie czekając długo, tu i owdzie na koń i rzucano się jeszcze „za ciepła“ na Szwedów.

W ten sposób mniejsze oddziały szwedzkie topnieć i ginąć poczęły. Działo się to na Litwie, Żmudzi, Mazowszu, Wielko- i Małopolsce. Nieraz szlachta, zebrawszy się u sąsiada na chrzciny, imieniny, na wesele lub kulig, bez żadnych wojowniczych zamiarów, kończyła na tem zabawę, że, podpiwszy, uderzała jak grom i wycinała w pień pobliską szwedzką komendę. Poczem kulig wśród pieśni i okrzyków, przybierając po drodze tych, którzy się „ochocić“ chcieli, jechał dalej, zmieniał się w tłum chciwy krwi, z tłumu, w „partję“, która już stałą rozpoczynała wojnę. Poddani chłopi i czeladź całemi tłumami garnęli się do zabawy; inni donosili o pojedynczych Szwedach lub pomniejszych oddziałach, po wsiach nieostrożnie roztasowanych. I liczba „kuligów“ i „maszkar“ zwiększała się z dniem każdym. Wesołość i fantazja, właściwa narodowi, mieszały się do tych krwawych zabaw.

Chętnie przebierano się za Tatarów, których samo imię napełniało trwogą Szwedów, dziwne bowiem krążyły między nimi wieści i bajki o dzikości i straszliwem a okrutnem męstwie tych synów krymskich stepów, z którymi Skandynawowie nie spotkali się dotąd nigdy. Że zaś wiedziano powszechnie, iż chan w sto tysięcy, okrągło, ordy idzie w pomoc Janowi Kazimierzowi, a szlachta hałasowała, napadając na komendy, powstało stąd dziwne zamieszanie.

Pułkownicy i komendanci szwedzcy w wielu miejscach byli istotnie przekonani, że Tatarzy już nadeszli, i cofali się nagwałt do większych fortec lub obozów, roznosząc wszędzie wieść fałszywą i trwogę. Tymczasem okolice, które pozbyły się w ten sposób nieprzyjaciela, mogły się zbroić i niesforne tłuszcze w rządniejsze wojsko zamieniać.

Lecz groźniejsze jeszcze dla Szwedów od kuligów szlacheckich i od samych Tatarów były ruchy chłopskie. Oddawna, od pierwszego dnia oblężenia Częstochowy, poczęło wrzeć pomiędzy ludem, i spokojni a cierpliwi dotąd oracze jęli tu i owdzie stawiać opór i tu i owdzie chwytać za kosy i cepy, a szlachcie pomagać. Bystrzejsi generałowie szwedzcy z największą obawą patrzyli na te chmury, które lada chwila mogły się zmienić w potop prawdziwy i pochłonąć bez ratunku najeźdźców.

Postrach wydawał im się najwłaściwszym środkiem, by zgnieść w zarodzie straszne niebezpieczeństwo. Karol Gustaw głaskał jeszcze i pochlebnemi słowy utrzymywał te chorągwie polskie, które za nim do Prus poszły. Nie szczędził też pochlebstw panu chorążemu Koniecpolskiemu, słynnemu regimentarzowi z pod Zbaraża. Ten stał przy jego boku z sześciu tysiącami niezrównanej jazdy, która przy pierwszem nieprzyjacielskiem starciu z elektorem taki postrach i zniszczenie rozniosła między Prusakami, że elektor, zaniechawszy boju, co prędzej na układy się zgodził.

Słał król szwedzki także listy do hetmanów, do magnatów i szlachty, pełne łaski, obietnic i zachęcań, by mu wierności dochowali. Lecz jednocześnie wydał rozkazy swym jenerałom i komendantom niszczenia ogniem i mieczem wszelkiego oporu wewnątrz kraju, a zwłaszcza wycinania w pień kup chłopskich. Rozpoczął się tedy okres żelaznych rządów żołnierskich. Szwedzi porzucili pozory przyjaźni. Miecz, ogień, rabunek, ucisk, zastąpiły dawną udawaną życzliwość. Z zamków komenderowano potężne oddziały jazdy i piechoty w pościgu za kuligami. Równano z ziemią całe wsie, palono dwory, kościoły i plebanje. Jeńców szlachtę oddawano w ręce katom; chłopom, wziętym w niewolę, obcinano prawe ręce i puszczano do domów.

Szczególnie srożyły się owe oddziały w Wiel-

kopolsce, która, jak najpierwsza *się* poddała, tak też najpierwsza podniosła się przeciw obcemu panowaniu. Komendant Stein rozkazał tam pewnego razu poucinać ręce przeszło trzystu chłopom, pochwyconym z bronią w ręku. Po miasteczkach pobudowano stałe szubienice i codzień ubierano je nowemi ofiarami. Toż samo czynił Magnus de la Gardie na Litwie i Żmudzi, gdzie naprzód zaścianki, a za niemi chłopstwo broń chwyciło. Że zaś wogóle w zamieszaniu trudno było Szwedom odróżnić własnych obrońców od nieprzyjaciół, przeto nie szczędzono nikogo.

Lecz ogień podsycany krwią, zamiast gasnąć, wzmagał się coraz więcej, i rozpoczęła się wojna, w której obu stronom nie chodziło już o same zwycięstwa, o zamki i miasta lub prowincje, ale o śmierć i życie. Okrucieństwo wzmagało nienawiść, i poczęto nie walczyć, lecz tępić się wzajemnie bez miłosierdzia.

## ROZDZIAŁ II.

Ta wojna wytępienia była dopiero w początku, gdy pan Kmicic wraz z trzema Kiemliczami dotarł po trudnej, ze względu na jego nadwerężone zdrowie, podróży do Głogowej. Przyjechali nocą. Miasto było przepełnione od wojska, panów, szlachty, sług królewskich i magnackich, a gospody tak pozajmowane,

że stary Kiemlicz z największym trudem wystarał się o kwaterę dla pana Andrzeja, u powroźnika, mieszkającego już za miastem.

Dzień ten przeleżał pan Andrzej w bólu i w gorączce od oparzenia. Chwilami myślał, że przyjdzie mu ciężko, obłożnie zachorować. Ale żelazna natura przemogła. Następnej nocy uczyniło mu się lżej, a świtaniem ubrał się już i poszedł do farnego kościoła Bogu za cudowne swe ocalenie podziękować.

Szary i śnieżny zimowy ranek zaledwie rozproszył ciemności. Miasto jeszcze spało, ale przez drzwi kościoła widać już było światło w ołtarzu i dochodziły go głosy organów.

Kmicic wszedł do środka. Ksiądz przed ołtarzem odprawiał wotywę, w kościele mało jeszcze było modlących się. W ławkach klęczało kilkanaście postaci z twarzami ukrytemi w dłoniach, a oprócz nich ujrzał pan Andrzej, gdy oczy jego oswoiły się z ciemnością, jakąś postać, leżącą krzyżem przed samemi stalami, na rozciągniętym na ziemi kobierczyku. Za nim klęczało dwóch wyrostków o rumianych i prawie anielskich, dziecinnych twarzach. Człowiek ten leżał bez ruchu, i tylko z piersi, poruszanych ustawicznie ciężkiemi westchnieniami, można było poznać, że nie śpi, że modli się gorliwie i całą duszą. Kmicic również pogrążył się w modlitwie dziękczynnej; lecz po ukończonych pacierzach oczy jego mimowoli zwróciły się na le-

żącego krzyżem męża i nie mogły się już od niego »oderwać, tak je coś przykuwało do niego. Westchnienia podobne do jęków, głośne w ciszy kościelnej, wstrząsały ciągle tę postać. Żółte blaski świec zapalonych przed ołtarzem, wraz ze światłem dziennem, bielejącem w szybach, wydobywały ją z mroku i czyniły coraz widniejszą.

Pan Andrzej zaraz domyślił się z ubioru, że to musi być ktoś znaczny, gdyż i wszyscy obecni, nie wyłączając księdza odprawiającego wotywę, spoglądali .nań ze czcią i uszanowaniem. Nieznajomy przybrany był cały w czarny aksamit, podbity sobolami, tylko na ramionach miał odwinięty biały koronkowy kołnierz, z pod którego przeglądały złote ogniwa łańcucha; czarny z takiemiż piórami kapelusz leżał obok, jeden zaś z paziów, klęczących za kobierczykiem, trzymał rękawicę i szmelcowaną na błękitno [1] szpadę. Twarzy nieznajomego nie mógł pan Kmicic widzieć, gdyż była ukryta w fałdach kobierczyka, a przytem zasłaniały ją zupełnie rozproszone naokoło głowy loki nadzwyczaj obfitej peruki.

Pan Andrzej przysunął się do samej stali, tak, aby, gdy nieznajomy się podniesie, mógł dojrzeć jego twarz. Tymczasem wotywa miała się ku końcowi. Ksiądz śpiewał już „Pater no-

[1] ze stali hartowanej, która przez odpowiednie nagrzewanie staje się niełamliwą, giętką, a przybiera na powierzchni barwę błękitną.

ster". Ludzie, którzy chcieli być na następnej mszy, napływali przez główne drzwi» wchodowe. Kościół zapełnił się zwolna postaciami o podgolonych głowach, przybranemi w delje, w żołnierskie burki, w szuby i altembasowe kapoty. Uczyniło się dość ciasno. Wówczas Kmicic trącił w łokieć stojącego obok szlachcica i szepnął:

— Przebacz wasza mość, że go w nabożeństwie inkomoduję, ale ciekawość mocniejsza. Kto też to jest?

Tu wskazał oczyma na leżącego krzyżem pana.

— Chybaś waść «daleka przyjechał, że nie wiesz, kto to jest? — odparł szlachcic.

— Pewnie, żem zdaleka przyjechał, i dlatego pytam, w nadziei, że gdy na kogo politycznego trafię, to mi nie poskąpi odpowiedzi.

— To jest król.

— Na Boga żywego! — zawołał Kmicic.

Lecz w tej chwili król się podniósł, bo ksiądz zaczynał właśnie czytać ewangelję.

Pan Andrzej ujrzał twarz wymizerowaną, żółtą i przezroczystą jak wosk kościelny. Oczy królewskie były wilgotne, a powieki zaczerwienione. Rzekłbyś, całe losy kraju odbiły się na tej szlachetnej twarzy, tyle w niej było bólu, cierpienia, troski. Noce bezsenne, rozdzielane między modlitwę a zmartwienie, zawody okrutne, tułactwo, opuszczenie, upokorzony majestat tego syna, prawnuka i wnuka

potężnych królów, gorycz, którą tak obficie napawali go właśni poddani, niewdzięczność kraju, dla którego gotów był krew i życie poświęcić, wszystko to można było, jak w księdze, w tern obliczu wyczytać. A jednak biła z niego nietylko rezygnacja, zdobyta przez wiarę i modlitwę, nietylko majestat króla i Bożego pomazańca, ale taka dobroć wielka, niewyczerpana, iż widać było, że dość będzie największym odstępcom, najbardziej winnym, wyciągnąć tylko ręce do tego ojca, a ten ojciec przyjmie, przebaczy i krzywd własnych zapomni.

Kmicicowi na jego widok zdawało się, że ktoś mu żelazną dłonią ścisnął serce. Żal zawrzał w gorącej duszy junaka. Skrucha, litość i cześć oddech zaparły mu w gardle, poczucie winy niezmiernej podcięło mu kolana, — aż drżeć począł na całem ciele, i nagle nowe, nieznane uczucie powstało mu w piersi. Oto w jednej chwili pokochał tak ten bolesny majestat, że uczuł, iż nie ma nic droższego na ziemi całej od tego ojca i pana, że gotów za niego poświęcić krew, życie, znieść torturę i wszystko w świecie. Chciałby się do tych nóg rzucić, kolana objąć i prosić o odpuszczenie win. Szlachcic, zuchwały warchoł, zamarł w nim w jednej chwili, a urodził się regalista i, oddany duszą całą swemu królowi.

---

[1] stronnik królewski.

— To nasz pan! nasz pan nieszczęsny! — powtarzał sobie, jakby ustami chciał dać świadectwo temu, co widziały jego oczy, a czuło serce.

Tymczasem Jan Kazimierz po ewangelji klęknął znowu, ręce rozłożył, oczy wzniósł ku górze i pogrążył się w modlitwie. Ksiądz wreszcie odszedł, począł się ruch w kościele, król klęczał ciągle.

Aż ów szlachcic, którego Kmicic zaczepił, trącił teraz w bok pana Andrzeja.

— A coś waćpan za jeden? — spytał.

Kmicic nie odrazu zrozumiał pytanie i nie zaraz odpowiedział, tak dalece serce jego i umysł były osobą królewską zajęte.

— A coś waćpan za jeden? — powtórzył ów personat.

— Szlachcic, jako i waszmość! — odrzekł pan Andrzej, zbudziwszy się jakby ze snu.

— Jakże cię zowią?

— Jak mnie zowią? Zwę się Babilliez, a jestem z Litwy, z pod Witebska.

— A jam jest Ługowski, dworski królewski!... Proszę, to waćpan aż z Litwy, z pod Witebska jedziesz?

— Nie... Jadę z Częstochowy.

Pan Ługowski aż zaniemówił na chwilę ze zdziwienia.

— A jeśli tak, to bywajże waćpan, bywaj, bo nam nowin udzielisz! Mało już króla miłościwego nie umorzył frasunek, że przez trzy

dni żadnej pewnej wieści nie miał. Jakże to? Z pod chorągwi Zbrożka może, albo Kalińskiego, albo Kuklinowskiego ? Z pod Częstochowy ?

— Nie z pod Częstochowy, ale z samego klasztoru, wprost!

—• Chyba waść żartujesz? Co tam? co słychać? Broni-źe się jeszcze Jasna Góra?

— I broni się, i będzie broniła. Szwedzi już na odstąpieniu!

— Dla Boga! Król ozłoci waszmości! Z samego klasztoru, powiadasz, jedziesz?... Jakże cię to Szwedzi puścili?

— Jam ich o permisję nie prosił, ale wybaczaj waćpan, że w kościele obszerniejszej relacji dać nie mogę.

— Słusznie, słusznie — odparł pan Ługowski. — Bóg miłosierny!... Z nieba nam spadłeś!... ‘W kościele nie przystoi... słusznie! Czekajże waćpan. Zaraz się król podniesie, śniadać przed sumą pojedzie... Dziś niedziela... Chodź waść, staniesz wraz ze mną przy drzwiach i wraz u wejścia przedstawię waćpana królowi... Chodź, chodź, bo niema czasu!

To rzekłszy, ruszył naprzód, a Kmicic za nim. Zaledwie ustawili się przy drzwiach, gdy ukazało się naprzód dwóch paziów, a za nimi wyszedł zwolna Jan Kazimierz.

— Miłościwy królu! -— zakrzyknął pan Ługowski — są wieści z Częstochowy!

Woskowa twarz Jana Kazimierza ożywiła się nagle.

— Co? gdzie? kto jest? — spytał.

— Ten oto szlachcic! Powiada, że z samego klasztoru jedzie.

— Zali klasztor już zdobyty? — zakrzyknął król.

Wtem pan Andrzej rymnął jak długi do nóg pańskich.

Jan Kazimierz pochylił się i począł podnosić go za ramiona.

— Na potem, — wołał, — na potem!... Wstań waść, na Boga, wstań! mów prędzej... Klasztor zdobyty?

Kmicic zerwał się ze łzami w oczach i krzyknął z zapałem:

— Nie zdobyty, miłościwy panie, i nie będzie! Szwedzi pobici! Największa armata wysadzona! Strach między nimi, głód, mizerja! 0 odstąpieniu myślą!...

— Chwała! cliwała Tobie, Królowo Anielska i nasza! — rzekł król.

To rzekłszy, odwrócił się ku drzwiom kościelnym, zdjął kapelusz, i nie wchodząc do środka, klęknął na śniegu przy drzwiach. Głowę oparł o ramę kamienną i pogrążył się w milczeniu. Po chwili łkanie poczęło nim wstrząsać.

Rozczulenie ogarnęło wszystkich. Pan Andrzej ryczał jak żubr.

Król, pomodliwszy się i wypłakawszy, wstał

uspokojony, z twarzą wiele pogodniejszą. Zaraz spytał Kmicica o nazwisko, a gdy ten powiedział mu swe przybrane miano, rzekł:

— Niechże cię pan Ługowski zaraz do naszej kwatery prowadzi. Nie zażyjemy rannego posiłku inaczej, jak słuchając o obronie!

I w kwadrans później pan Kmicic stanął w komnacie królewskiej przed dostojnem zebraniem. Król czekał tylko na królową, by zasiąść do rannej polewki; jakoż Marja Ludwika pojawiła się za chwilę. Jan Kazimierz, ledwie ją ujrzał, zaraz zakrzyknął:

— Częstochowa wytrzymała! Szwedzi ustępują! Oto jest pan Babinicz, który stamtąd przyjeżdża i tę wieść przynosi!

Czarne oczy królowej spoczęły badawczo na młodej twarzy junaka, i widząc jej szczerość, rozjaśniły się radością; on zaś, oddawszy niski ukłon, patrzył także na nią śmiele, jako prawda i uczciwość patrzeć umieją.

— Moc Boska! — rzekła królowa; — ciężar okrutny zdjąłeś nam waćpan z serca, i da Bóg, że to będzie początek odmiany fortuny. Wprost-że z pod Częstochowy jedziesz?

— Nie z pod Częstochowy, ale powiada, że z samego klasztoru, to jeden z obrońców! — zawołał król. — Złoty gość!... Bodaj tacy codzień przybywali; ale pozwólcie-że mu przyjść do słowa... Opowiadaj, bracie, opowiadaj, jakeście się bronili i jak was ręka Boska piastowała?

— Pewnie, miłościwi państwo, że nic więcej, jeno opieka Boska i cuda Najświętszej Panny, na które codzień własnemi oczyma patrzyliśmy.

Tu pan Kmicic zabierał się już do opowiadania, gdy wtem coraz nowi dygnitarze zaczęli się schodzić. Przyszedł więc nuncjusz [1] papieski, potem ksiądz prymas Leszczyński, za nim ksiądz Wydżga, złotousty kaznodzieja, który był kanclerzem królowej, a później biskupem warmińskim, potem zaś jeszcze prymasem. # Wraz z nim wszedł kanclerz koronny pan Koryciński i Francuz de Noyers, przyboczny królowej, za nim nadchodzili kolejno inni dygnitarze, którzy pana nie opuścili w nieszczęściu, ale woleli z nim gorzki wygnańczy chleb dzielić, niż wiarę zaprzysiężoną złamać.

Królowi zaś pilno było, więc odrywał się co chwila od posiłku i powtarzał:

— Słuchajcie wasze moście! słuchajcie, gość z Częstochowy! dobra wieść, słuchajcie!... Z samej Jasnej Góry!...

Na to dygnitarze spoglądali z ciekawością na Kmicica, stojącego jakoby przed sądem, lecz on, śmiały z natury i przywykły do obcowania z wielkimi, wcale się widokiem tylu znamienitych ludzi nie trwożył, i gdy zasiedli wszyscy miejsca, począł o całem oblężeniu opowiadać.

---

[1] poseł.

Prawdę znać było w jego słowach, bo mówił jasno, dobitnie, jak żołnierz, który sam na wszystko patrzył, wszystkiego się dotknął, wszystko przebył. Mówił o księdzu Kordeckim, jako o proroku świętym, wychwalał pod niebiosa pana Zamojskiego i pana Czarnieckiego, wysławiał innych ojców, nikogo, prócz siebie, nie pomijał; lecz całą obronę, bez ogródki Najświętszej Pannie, Jej łasce i cudom przypisywał.

Słuchali go w zdumieniu król i dygnitarze.

Ksiądz arcybiskup oczy załzawione do nieba wznosił, ksiądz Wydżga pośpiesznie wszystko nuncjuszowi tłumaczył, inni panowie za głowy się chwytali, inni modlili się lub bili w piersi.

Wreszcie, gdy Kmicic doszedł do ostatnich szturmów, gdy począł opowiadać, jak Müller sprowadził ciężkie działa z Krakowa, a między niemi taką kolubrynę, której nietylko częstochowskie, ale żadne w świecie mury oprzeć się nie mogły, — cisza uczyniła się, jak makiem siał, i wszystkie oczy spoczęły na jego ustach.

Lecz pan Kmicic urwał nagle i począł oddychać szybko; jasne rumieńce wystąpiły mu na twarz, zmarszczył brwi, podniósł głowę i rzekł hardo:

— Teraz muszę mówić o sobie, choć wołałbym milczeć... A jeżeli coś powiem, co na pochwałę wypadnie, Bóg mi świadek, nie uczynię tego dla nagród, bo ich nie potrze-

buję, gdyż największa nagroda dla mnie za majestat krew przelać...

— Mów śmiele, wierzym ci! — rzeki król. Cóż owa kolubryna?...

— Tę kolubrynę... ja, wykradłszy się w nocy z fortecy, prochami w drzazgi rozsadziłem !

— Na miły Bóg! — zakrzyknął król.

Lecz po tym wykrzykniku nastała cisza, takie zdumienie ogarnęło słuchających. Wszyscy patrzyli jak w tęczę w junaka, który stał z iskrząoemi się oczyma, z rumieńcem na twarzy i z hardo podniesioną głową. A tyle w nim było w tej chwili jakiejś grozy i dzikiego męstwa, że każdemu przyszło mimowoli na myśl, iż taki człowiek mógł na podobny uczynek się zdobyć.

To też po chwili milczenia ksiądz prymas odezwał się:

— Patrzy na to ten człowiek!

— Jakżeś to uczynił? — zawołał król.

Kmicic opowiedział, jak było.

— Uszom się nie chce wierzyć! — rzekł pan kanclerz Koryciński.

— Mości panowie! — odezwał się z powagą król — nie wiedzieliśmy, kogo mamy przed sobą. Żywię jeszcze nadzieja, że nie zginęła ta Rzeczpospolita, póki takich kawalerów i obywateli wydaje.

— Ten może o sobie powiedzieć: „Si fractus illabatur orbis, impavidum ferient

ruinae!“ [1] — rzeki ksiądz Wydżga, który lubił autorów przy każdej sposobności cytować.

— Prawie to niepodobne rzeczy — ozwał się znów kanclerz. — Powiedzże, panie kawalerze, jakim sposobem żywot uniosłeś z tego terminu i jak przez Szwedów się przedostałeś?

— Huk ogłuszył mnie — rzeki Kmicic — i dopiero nazajutrz znaleźli mnie Szwedzi przy okopie, jakoby bez duszy leżącego. Zaraz mnie tam pod sąd oddali i Müller skazał mnie na śmierć.

— Ty zaś uciekłeś?

— Niejaki Kuklinowski wyprosił mnie u Müllera, żeby sam mógł mnie zgładzić, bo miał przeciw mnie zawziętość okrutną...

— Znany to warchoł i zbój, słyszeliśmy tu o nim — rzekł kasztelan krzywiński. —• Jego pułk z Müllerem pod Częstochową stoi... Prawda!

— Ów Kuklinowski posłował wprzódy od Müllera do klasztoru i raz mnie prywatnie do zdrady namawiał, gdym go do bramy odprowadzał... Ja zaś trzasnąłem go w gębę i skopałem nogami... Za to urazę do mnie powziął.

— A to widzę z ognia i siarki szlachcic! — zawołał rozweselony król. — Takiemu w drogę nie wchodź!... Müller oddał cię tedy Kuklinowskiemu?

[1] choćby świat się walił, gruzy ugodzę nieustraszonego.

— Tak jest, miłościwy panie!... On zaś zamknął się ze mną w pustej stodółce z kilkoma ludźmi... Tam mnie do belki powrozami przywiązał i męczyć począł i ogniem boki palił.

— Na Boga żywego!

— Wtem go odwołano do Müllera, a tymczasem przyszło trzech szlachty, niejakich Kiemliczów, jego żołnierzy, którzy wpierw u mnie służyli. Ci pobili strażników i odwiązali mnie od belki.

— I uciekliście. Teraz rozumiem! — rzekł król.

— Nie, miłościwy panie. Zaczekaliśmy na powrót Kuklinowskiego. Wówczas ja go kazałem do tej samej belki przywiązać i lepiej ogniem przypiekłem.

To rzekłszy pan Kmicic, podniecony wspomnieniem, zaczerwienił się na nowo i oczy błysły mu, jak wilkowi.

Lecz król, który łatwo od zmartwienia do wesołości, od powagi do żartu przechodził, począł bić dłonią w stół i wołać ze śmiechem:

— Dobrze mu tak! dobrze mu tak! Nie zasłużył taki zdrajca na lepszy traktament!

— Zostawiłem go żywego, — odrzekł Kmicic, — lecz do rana rnusiał ostygnąć.

— To sztuka, co swego nie daruje! Więcej nam takich! — wołał król, zupełnie już rozbawiony. — Sam zaś z tymi żołnierzami tu przybyłeś? Jak ich zowią?

— Kiemlicze: jest ojciec i dwóch synów.

— Mater mea de domo Kiemliczówna est [1], — rzeki z powagą ksiądz kanclerz królowej, Wydżga.

— To widać są Kiemlicze wielcy i mali, — odparł wesoło Kmicic, — a ci nietylko są mali, ale i w rzeczy hultaje, jeno żołnierze okrutni i mnie wierni.

Tymczasem kanclerz Koryciński szeptał coś od niejakiego czasu do ucha księdza arcybiskupa gnieźnieńskiego, wreszcie rzekł:

— Wielu tu przyjeżdża takich, którzy dla własnej chwalby, albo spodziewanej nagrody radzi kilimkiem rzucają. Ci wieści fałszywe i bałamutne przywożą, często i przez nieprzyjaciół namówieni.

Uwaga ta zmroziła wszystkich obecnych. Kmicica twarz pokryła się purpurą.

— Nie znam ja godności waszmości pana,— odrzekł, — która, jak tuszę, musi być znaczna... więc nie chcę jej ubliżyć, ale tak myślę, że niemasz takiej godności, którab y pozwalała szlachcicowi bez racji łgarstwo zadawać.

— Człowieku! do kanclerza wielkiego koronnego mówisz! — rzekł pan Ługowski.

Kmicic wybuchnął gniewem:

— Kto mi łgarstwo zadaje, choćby był kanclerzem, temu powiem: łatwiej łgarstwo zadawać, niż gardła nadstawiać, łatwiej pieczętować woskiem, niż krwią!

---

[1] matka moja jest z domu Kiemliczówna.

Lecz pan Koryciński nie rozgniewał się wcale, tylko odrzekł:

— Nie zadaję ci kłamstwa, panie kawalerze, ale jeżeli prawda, coś mówił, to powinieneś mieć bok spalony?

— Pójdź-że wasza wielmożność gdzie na stronę, to ci go pokażę! — huknął Kmicic.

—- Nie potrzeba, — rzekł król, — wierzym ci tak!

— Nie może być, miłościwy królu! — zakrzyknął pan Andrzej, — sam tego chcę, jak o łaskę o to proszę, żeby mnie tu nikt, choćby nie wiem jak dostojny, kolorystą nie czynił! Żleby mi się nagrodziła męka, miłościwe państwo! Nie chcę nagrody, chcę, żeby mi wierzono, — niechże niewierni Tomasze dotkną ran moich!

— U mnie masz wiarę! — rzekł król.

— Sama prawda była w jego słowach, — dodała Mar ja Ludwika, — ja się na ludziach nie mylę.

Lecz Kmicic ręce złożył.

•—• Miłościwe państwo, pozwólcie! Niechże ktokolwiek idzie ze mną na stronę, bo ciężkoby mi tu było żyć w podejrzeniach.

— Ja pójdę, — rzekł pan Tyzenhauz, młody dworzanin królewski.

To rzekłszy, odprowadził Kmicica do drugiej komnaty, a po drodze mówił do niego:

— Nie dlatego idę, bym nie wierzył, bo wierzę, ale by z waszmością pogadać. My się

gdzieś na Litwie widzieli... Nazwiska sobie nie mogę przypomnieć, bo być może, iżem waszmości wyrostkiem jeszcze widział i sam wtedy wyrostkiem byłem.

Kmicic odwrócił nieco twarz, by ukryć nagłe pomieszanie.

— Może na sejmiku jakim. Często mnie nieboszczyk rodzic brał ze sobą, bym się praktyce publicznej przypatrywał.

— Może być... Twarz waćpańska pewno mi nie obca, chociażeś wtedy tej kresy nie miał. Patrz jednak waćpan, jako memoria fragilis est [1], — toż mnie się przywiduje, że cię wtedy inaczej zwali?

— Bo lata pamięć mącą — odparł pan Andrzej.

Zaczem weszli do innej komnaty. Po chwili pan Tyzenhauz wrócił przed oblicze królewskie.

— Upieczon, miłościwy królu, jako na rożnie! — rzekł. Cały bok zeszczętem przypalony!

Więc gdy zkolei i Kmicic wrócił, król wstał, ścisnął go za głowę i rzekł:

— Nigdybyśmy nie wątpili, że prawdę mówisz, i zasługa twoja ani ból darmo nie przeminie.

— Dłużnikami twymi jesteśmy — dodała królowa, wyciągając doń rękę.

[1] pamięć zawodzi.

Pan Andrzej przyklęknął na jedno kolano i ucałował ze czcią dłoń królowej, która go jeszcze pogładziła jako matka po głowie.

— Ale już-że się na pana kanclerza nie gniewaj — rzekł znowu król. — Po prawdzie, niemało tu było zdrajców, albo takich, którzy pletli trzy po trzy, a do urzędu kanclerskiego należy, żeby prawdę de publicis wydobyć.

— Coby tam mój chudopacholski gniew znaczył dla tak wielkiego człowieka! — odpowiedział pan Andrzej. — I nie śmiałbym nawet mruczeć na zacnego senatora, który przykład wierności i miłości do ojczyzny wszystkim daje.

Kanclerz uśmiechnął się dobrotliwie i wyciągnął rękę.

— No, niechże będzie zgoda! Przymówiłeś mi też szpetnie o tym wosku, ale wiedz o tem, że i Korycińscy często krwią, nie samym woskiem, pieczętowali...

Król rozweselony był zupełnie.

— Udał nam się ten Babinicz! — rzekł do senatorów. — Tak nam do serca przypadł, jak mało kto... Już cię też od boku naszego nie puścim i, da Bóg, razem niezadługo do miłej ojczyzny powrócimy.

— O najjaśniejszy królu! — zakrzyknął w uniesieniu Kmicic — chociażem był w twierdzy zamknięty, wiem to od szlachty, od wojska, od tych nawet, co pod panem Zbrożkiem i Kalińskim służąc, Częstochowę

oblegali, że wszyscy dnia i godziny twego powrotu wyglądają. Ukaż się tylko, miłościwy panie, a tego samego dnia cała Litwa, Korona i Ruś, jako jeden mąż przy tiobie staną! Pójdzie szlachta, pójdzie nawet chłopstwo nikczemne przy panu swoim się oponować. Wojsko pod hetmanami ledwie już dysze, tak chce na Szwedów... Wiem i to, że pod Częstochowę przyjeżdżali od hetmańskich wojsk deputaci, żeby Zbrożka, Kalińskiego i Kuklinowskiego przeciw Szwedom ekscytować. Stań dziś, miłościwy panie, w granicach, a za miesiąc jednego Szweda już nie będzie, jeno przybądź, jeno się ukaż, bośmy tam jako owce bez pasterza!...

Kmicicowi skry szły z oczu, gdy to mówił, i tak wielki zapał go ogarnął, że klęknął na środku sali. Zapał jego udzielił się też samej nawet królowej, która nieustraszonej odwagi będąc, dawno króla do powrotu namawiała.

Więc zwróciwszy się teraz do Jana Kazimierza, rzekła z siłą i stanowczością:

— Głos całego narodu przez usta tego szlachcica słyszę!...

— Tak jest! tak jest! Miłościwa pani!... matko nasza!... — zakrzyknął Kmicic.

Lecz kanclerza Korycińskiego i króla uderzyły niektóre słowa w tern, co mówił Kmicic.

— Zawsze — rzekł król — gotowiśmy ponieść w ofierze zdrowie i życie nasze, i nie na co innego, jeno na poprawę poddanych naszych czekaliśmy aż dotąd,

— Ta poprawa już się spełniła — rzekła Marja Ludwika.

— Majestas infracta malis![1] — rzekł, spoglądając na nią z 'Uwielbieniem, ksiądz Wydżga.

— Ważne to są rzeczy, — przerwał ksiądz arcybiskup Leszczyński, — zali istotnie deputacje od wojsk hetmańskich przychodziły pod Częstochowę?

— Wiem to od moich ludzi, tychże Kiemliczów! — odparł pan Andrzej. — U Zbroźka i Kalińskiego wszyscy głośno o tern mówili, nic na Müllera i Szwedów nie uważając. Kiemlicze owi nie byli zamknięci, mieli ze światem relacje, z żołnierzami i szlachtą... Tych mogę przed obliczem majestatu i waszych dostojności postawić, aby sami opowiedzieli, jako w całym kraju wre jak w garnku. Hetmani z musu tylko do Szweda przystali, bo zły duch wojsko opętał, a teraz samo owo wojsko chce napowrót do powinności wrócić. Szlachtę i duchownych Szwedzi biją, rabują, przeciw wolności dawnej bluźnią, toż i dziwu niema, że każdy jeno pięści ściska i na szablę łakomie spogląda.

— Mieliśmy już i my od wojsk wiadomości, — rzekł król, — byli tu także tajni wysłańcy, którzy nam ochotę powszechną powrotu do dawnej wierności i czci oznajmiali...

---

[1] majestat niezłamany nieszczęściami.

— I to schodzi się z tem, co ów kawaler powiada — rzeki kanclerz. — A jeśli deputacje i między pułkami chodzą, to ważne jest, ho ¡znaczy to, że owoc już dojrzał, że nasze starania nie zmarniały i robota gotowa, a zatem czas nadszedł...

— A Koniecpolski? — rzeki król, — a tylu innych, którzy jeszcze przy boku najezdnika stoją, w oczy mu patrzą i o swej wierności zaręczają?

Na to umilkli wszyscy, a król zasępił się nagle, — i jako gdy słońce za chmurę zajdzie, mrok odrazu cały świat pokrywa, tak i jemu twarz pociemniała.

I po chwili tak mówić począł:

—■ *Bóg* patrzy w serca nasze, źeśmy choć dziś gotowi wyruszyć i że nie potencja szwedzka nas wstrzymuje, ale nieszczęsna zmienność naszego narodu, który jako Proteusz i, coraz nową postać na się przyjmuje. Zali możemy zaufać, że to nawrócenie szczere, ochota nie zmyślona, gotowość nie zdradliwa? Zali możemy zawierzyć temu narodowi, który tak niedawno nas opuścił i z tak lekkiem sercem z najezdnikiem się połączył przeciw własnemu królowi, przeciw własnej ojczyźnie, przeciw własnym wolnościom? Boleść ściska nam serce i wstyd nam za naszych poddanych! Gdzież dzieje podają podobne przy-

[1] u Greków bożek morski, który mógł przybierać na siebie zmienne, coraz to inne postaci.

kłady? Któren-że król tyle doznał zdrad i nieżyczliwości, któren tak był opuszczony? Przypomnijcie sobie jeno, uprzejmości wasze, iżeśmy wśród naszego wojska, wśród tych, którzy krew za nas winni byli przelać, bezpieczeństwa i — i zgroza powiedzieć! — życia nawet nie byli pewni. A jeśliśmy ojczyznę opuścili i tu schronienia szukać musieli, to nie z bojaźni przed owym szwedzkim nieprzyjacielem, ale by własnych poddanych, własne dzieci, od straszliwego występku królobójstwa i ojcobójstwa uchronić.

— Miłościwy panie!—krzyknął Kmicic,— ciężko zawinił nasz naród, grzeszny jest i słusznie chłoszcze go ręka Boża, ale przecie, na rany Chrystusa! nie znalazł się w tym narodzie i, da Bóg, po wieki nie znajdzie się taki, któryby rękę na świętą osobę pomazańca Boskiego śmiał podnieść!

— Ty w to nie wierzysz, boś poczciwy, — odrzekł król, — ale mamy listy i dowody. Już to gorzko odpłacili nam się Radziwiłłowie za dobrodziejstwa, któremiśmy ich obsypali, a jednak Bogusława, choć zdrajcę, sumienie ruszyło, i nietylko nie chciał do zamachu na nas ręki przyłożyć, ale pierwszy nam o nim doniósł.

— Do jakiego zamachu? — zawołał zdumiony Kmicic.

— Doniósł nam, — rzekł król, — iż znalazł się taki, który mu się za sto czerwonych

złotych ofiarował porwać nas i żywego lub umarłego Szwedom dostawić.

Dreszcz przeszedł całe zgromadzenie na te słowa królewskie, a pan Kmicic zaledwie zdołał wyjąknąć pytanie:

— Kto to był taki?... kto to był?...

— Niejaki Kmicic — odrzekł król.

Fala krwi uderzyła panu Andrzejowi do głowy, w oczach mu pociemniało, rękoma schwycił się za czuprynę i strasznym, obłąkanym głosem zakrzyknął:

— To łgarstwo! Książę Bogusław łże jak pies! Miłościwy królu, panie mój! nie wierz temu zdrajcy! umyślnie on to uczynił, by wroga zhańbić, a ciebie przerazić, królu mój, panie!... to zdrajca!... Kmicicby nie ważył się na to...

Tu nagle zakręcił się pan Andrzej na miejscu. Siły jego, sterane oblężeniem, podcięte wybuchem prochów w kolubrynie i męką zadaną przez Kuklinowskiego, opuściły go zupełnie — i runął bez przytomności do nóg królewskich .

Podniesiono go i medyk królewski począł go cucić w przyległej izbie. Lecz w zgromadzeniu dygnitarzy nie umiano sobie wytłumaczyć, czemu słowa królewskie podobnie straszne uczyniły na młodym szlachcicu wrażenie.

— Albo tak poczciwy, że sama abominacja z nóg go zwaliła, albo jaki tego Kmicica krewny — rzekł pan kasztelan krakowski.

.— Trzeba się będzie tego dopytać — odpowiedział kanclerz Koryciński. — Oni tani wszyscy sobie na Litwie krewni, jako zresztą i u nas.

Na to pan Tyzenhauz:

— Miłościwy panie! Niech mnie Bóg broni, żebym chciał co złego o tym szlachcicu mówić — ale... nie trzeba jeszcze zbytecznie ufać... Że służył w Częstochowie, to pewno; bok ma spalony, czegoby w żadnym razie mnisi nie uczynili, bo oni jako słudzy Bozi wszelką klemencję nawet dla jeńców i zdrajców mieć muszą; ale jedno mi wciąż po głowie chodzi i ufność do niego psuje... Owo ja go kiedyś na Litwie spotkałem... wyrostkiem jeszcze, na sejmiku, czy na kuligu... nie pomnę...

■— I co z tego? — rzekł król.

— I on... ciągle mi się widzi... że nie nazywał się Babinicz.

—- Nie powiadaj byle czego! —■ rzekł król — młody jesteś i nieuważny, w głowie łacno ci się mogło pomieszać. Babinicz, czy nie Babinicz, czemu ja jemu nie maih ufać? Szczerość i prawdę ma na gębie wypisane, a serce widać złote. Sobiebym chyba nie ufał, gdybym takiemu żołnierzowi nie miał ufać, któren krew za nas i ojczyznę przelewał.

— Więcej on na ufność zasługuje, aniżeli list księcia Bogusława, — rzekła nagle królowa, — i polecam to uwadze waszych dostoj-

ności, że w tym liście może nie być i słowa prawdy. Siła mogło zależeć Radziwiłłom birżańskim, żebyśmy zgoła na duchu upadli, a łacno przypuścić, że książę Bogusław chciał przytem jakowego wroga swego pogrążyć i sobie furtkę otwartą w razie odmiany fortuny zostawić.

— Gdybym nie przywykł do tego, — rzekł prymas, — że z ust miłościwej królowej jejmości sama mądrość wychodzi, zdumiewałbym się nad bystrością tych słów, najbieglejszego statysty godnych.

— „...curasque gerens, animosque viriles [1]...“ — przerwał zcicha ksiądz Wydżga.

Podniesiona temi słowy królowa, wstała z krzesła i tak mówić poczęła:

— Nie o Radziwiłłów birżańskich mi chodzi, bo ci, jako heretycy, łacnie podszeptów nieprzyjaciela rodu ludzkiego usłuchali; ani też o list księcia Bogusława, prywatę może zacierający... Ale najbardziej mnie bolą desperackie słowa króla, pana i małżonka mojego, przeciw temu narodowi wyrzeczone. Któż bowiem go oszczędzi, jeśli go własny król potępia? A przecie, gdy rozejrzę się po świecie, próżno pytam, gdzie jest taki drugi naród, w którymby chwała Boga starożytnej szczerości trybem trwała i pomnażała się coraz bardziej... Próżno patrzę, gdzie drugi

[1] dźwigając troski męskie i ducha majęc męskiego.

naród, w którym tak otwarty kandor [1] żyje; gdzie państwo, w któremby o tak piekielnych bluźnierstwach, subtelnych [2] zbrodniach i nigdy nieprzejednanych zawziętościach, jakich pełne *są* obce kroniki, nigdy nikt nie słyszał... Niechże mi pokażą ludzie, w dziejach świata biegli, inne królestwo, gdzieby wszyscy królowie własną spokojną śmiercią umierali. Niemasz tu nożów i trucizn, niemasz protektorów, jako u Angielczyków... Prawda, mój panie: zawinił ten naród ciężko, zgrzeszył przez swawolę i lekkość... Ale któryż to jest naród nigdy nie błądzący, i gdzie jest taki, któryby tak prędko winę swą uznał, pokutę i poprawę rozpoczął? Oto już się obejrzeli, już przychodzą, bijąc się w piersi, do twego majestatu... już krew przelać, życie oddać, fortuny poświęcić dla ciebie gotowi... A ty zali ich odepchniesz? zali żałującym nie przebaczysz, poprawionym i pokutującym nie zaufasz?... dzieciom, które zbłądziły, ojcowskiego afektu nie wrócisz?... Zaufaj im, panie, bo oto tęsknią już za swą krwią jagiellońską i za ojcowskiemi rządami twemi... Jedź między nich... Ja, — ja, niewiasta, nie lękam się zdrady, bo widzę miłość, bo widzę żal za grzechy i restaurację tego królestwa, na które cię po ojcu i bracie powołano. Ani mi się też podobna rzecz zdawa, by Bóg miał zgubić tak znaczną Rzeczpospo-

[1] szczerość, prawość. [2] tu: wyrafinowanych, chytrze obmyślanych.

litą, w której światło prawdziwej wiary płonie. Do krótkiego czasu ściągnęła Boska sprawiedliwość rózgę swoją na ukaranie, nie na zgubienie, dziatek swoich, a zaś wkrótce potem utuli ich i pocieszy ojcowska tegoż niebieskiego Pana dobroć. Lecz ty nie gardź niemi, królu, i powierzyć się ich synowskiej dyskrecji [1] nie lękaj, bo tylko tym sposobem złe w dobre, zmartwienia w pociechy, klęski w triumfy zmienić się mogą.

To rzekłszy, siadła królowa, jeszcze z ogniem w źrenicach i falującą piersią; wszyscy spoglądali na nią z uwielbieniem, ą ksiądz kanclerz Wydżga zaczął mówić echowym głosem:

— „Nulla sors longa est, dolor et voluptas
Invicem cedunt.
Ima permutat brevis hora sununis...“[2]

Lecz nikt go nie słuchał, bo zapał bohaterskiej pani udzielił się wszystkim sercom. Sam król zerwał się z rumieńcem na pożółkłej twarzy i. zakrzyknął:

— Nie straciłem jeszcze królestwa, skoro mam taką królowę!... Niechże się stanie jej wola, bo w natchnieniu proroczem mówiła. Im prędzej wyruszę i stanę inter regna [3], tern będzie lepiej!...

---

[1] uczciwości, rzetelności. [2] Niema nic stałego, ból i rozkosz następują po sobie naprzemian. Jedna krótka chwila wywraca (zmienia) wszystko. [3] na granicy królestwa.

Na to ozwał się z powagą prymas:

— Nie chcę ja woli miłościwych państwa moich negować, ani od przedsięwzięcia odwodzić, w którem jest hazard, ale może hyć i zbawienie. Wszelako za roztropną rzecz uważałbym, jeszcze raz w Opolu, gdzie większość senatorów przebywa, zebrać się i tam konceptów[1] zebranych posłuchać, które jeszcze lepiej i obszerniej sprawę wywieść i rozważyć mogą.

— Zatem do Opola! — zakrzyknął król — a potem w drogę... i co Bóg da!

— Bóg da powrót szczęśliwy i zwycięstwo! — rzekła królowa.

— Amen! — rzeki prymas.

## ROZDZIAŁ III.

Pan Andrzej ciskał się jak ranny żbik w swej gospodzie. Piekielna zemsta Bogusława Radziwiłła przywiodła go niemal do szaleństwa. Niedość, że ów książę wyrwał się z jego rąk, pobił mu ludzi, jego samego niemal życia nie zbawił, nadto taką go okrył sromotą, pod jaką nietylko nikt z jego rodu, ale żaden Polak od początku świata nie jęczał.

To też były chwile, że Kmicic chciał się wyrzec wszystkiego: sławy, która się przed

[1] tu: planów.

nim otwierała, służby królewskiej, — a lecieć i mścić się na tym magnacie, któregoby pragnął pożreć na surowo.

Lecz z drugiej strony, mimo całej wściekłości i wichru w głowie, przychodziło mu na myśl, że póki książę żyw, zemsta nie uciecze, a najlepsza sposobność, jedyna droga zadać mu kłam i całą bezecność oskarżenia na jaw wywieść, to właśnie służba królewska, w niej bowiem mógł światu okazać, że nietylko na świętą osobę ręki podnosić nie zamierzał, ale że pomiędzy wszystką szlachtę Korony i Litwy nie mógłby król wierniejszego sługi nad Kmicica znaleźć.

Zgrzytał jednak zębami, kipiał jak war, szarpał na sobie odzież — i długo, długo nie mógł się uspokoić. Lubował się myślą o zemście. Widział znów księcia w swoich rękach; przysięgał sobie na pamięć rodzica, iż musi go dostać, choćby go za to śmierć i męki czekały. I jakkolwiek książę Bogusław potężny był pan, którego nietylko zemsta prostego szlachcica, ale i królewska, niełatwo mogła dosięgnąć, przecie, gdyby tę niepohamowaną duszę znał lepiej, nie byłby sypiał spokojnie i nieraz zadrżałby przed jego ślubami.

A przecie nie wiedział jeszcze pan Andrzej, że książę nietylko okrył go sromotą i nietylko sławę mu wydarł.

Tymczasem król, który odrazu polubił niezmiernie młodego junaka, przysłał po niego

pana Ługowskiego tego samego dnia, a nazajutrz kazał mu ze sobą jechać do Opola, gdzie na walnem zebraniu senatorów miano obradować nad powrotem króla do kraju. Jakoż było nad czem obradować: oto pan marszałek koronny nadesłał znów drugi list, donoszący, że wszystko w kraju do powszechnej wojny gotowe, i naglący pilnie do powrotu. Prócz tego rozeszła się wieść o jakimś związku szlachty i wojska, na obronę króla i ojczyzny, o którym istotnie oddawna w kraju myślano, ale który, jak się potem pokazało, zawarty został pod imieniem konfederacji tyszowieckiej później nieco.

Narazie jednak wszystkie umysły były nadzwyczaj temi wieściami zajęte i zaraz po mszy solennej udano się na tajemną obradę, na którą i Kmicic, za przyczyną królewską, jako przywożący wieści z Częstochowy, dopuszczony został.

Poczęto więc roztrząsać, czy powrót zaraz ma nastąpić, czy go lepiej odłożyć aż do tej chwili, w której wojska nietylko chęcią, ale i czynem opuszczą Szweda.

Jan Kazimierz położył koniec tym rozprawom, rzekłszy:

— Nie o powrocie wasze dostojnoście radźcie, ani o tern, jeżeli nie lepiej zwłóczyć jeszcze, bo jam się już o tern z Bogiem i Najświętszą Panną naradzał... Zatem oświadczam waszym dostojnościom, że co bądź ma nas

spotkać, w tych dniach nieodmiennie osobą naszą wyruszamy... Wasze dostojnoście zaś wysilajcie jeno koncepty i rad nie skąpcie, jak najbezpieczniej i najsłuszniej powrót uskutecznić.

Rozmaite więc były zdania. Jedni mówili, aby nie ufać zbytnio panu marszałkowi koronnemu, który raz już wahanie i nieposłuszeństwo okazał, gdy korony, zamiast cesarzowi do przechowania, według rozkazu królewskiego oddać, do Lubowli uwiózł. — „Wielka (mówili) jest pycha i ambicja tego pana, a gdy jeszcze osobę królewską w swym zamku mieć będzie, kto wie, co pocznie, czego za swe usługi nie zażąda, i czy oałej władzy w ręce swe uchwycić nie zechce, aby nad wszystkimi górować, i nietylko całego kraju, ale i majestatu być protektorem“.

Ci tedy radzili, aby król, poczekawszy na odstąpienie Szwedów, do Częstochowy się udał, jako do miejsca, z którego łaska i odrodzenie spłynęły na kraj. Lecz inni odmienne wygłaszali zdania.

— Jeszczeć Szwedzi stoją pod Częstochową, a choć jej za łaską Bożą nie zdobędą, przecie dróg wolnych niema. Tamte okolice wszystkie w rękach szwedzkich. Stoi nieprzyjaciel w Krzepicach, w Wieluniu, w Krakowie, nad granicą także znaczne siły są rozłożone. A w górach, na węgierskiej rubieży, gdzie Lubowla jest położona, niemasz innych wojsk,

prócz wojsk marszałka, i Szwedzi nigdy tam nie zapuszczali się dotąd, nie mając na to dość ludzi, ani odwagi. Z Lubowli bliżej na Ruś, która od «zajęcia nieprzyjacielskiego wolna, do Lwowa, który nie przestał być królowi wierny, i do Tatarów, którzy wedle wiadomości w pomoc idąc, tam właśnie na rezolucję królewską czekają.

— Quod attinet pana marszałka —• (mówił biskup krakowski) — ambicja jego już tern nasycona będzie, iż pierwszy króla w swojem starostwie spiskiem przyjmie i pierwszy opieką go otoczy. Władza przy królu pozostanie, a pana marszałka sama nadzieja tak wielkich przysług zadowolili; jeżeli zaś zechce wiernością nad wszystkimi górować, to czyli wierność jego z ambicji, czy też z miłości ku panu i ojczyźnie wypłynie, zawsze majestat znaczne korzyści stąd odniesie.

To zdanie zacnego i doświadczonego biskupa wydało się najsłuszniejszem; uchwalono więc, że król przez góry do Lubowli, a stamtąd do Lwowa lub gdzieby kazały okoliczności, wyruszy.

Obradowano także i nad dniem powrotu, ale wojewoda łęczycki, który właśnie od cesarza był wrócił, do którego w poselstwie o pomoc był wysyłany, uczynił uwagę, że lepiej jest terminu ścisłego nie wyznaczać i samemu królowi decyzję zostawić, a to dlatego, aby wieść się nie rozeszła i nieprzyjaciele nie zo-

stali przestrzeżeni. Stanęło tylko na tem, że król wyruszy w trzysta koni wybranej dragonji pod wodzą pana Tyzenhau>za, który, choć młody, miał już reputację wielkiego żołnierza.

Lecz niemal ważniejsza jeszcze była druga część obrad, na której z powszechną izgodą zawetowano, iż po przybyciu do kraju cała władza i kierunek wojny przejdzie w ręce króla, któremu szlachta, wojsko i hetmani we wszystkiem posłuszni być mają. Mówiono też o przeszłości i przytaczano powody tych nagłych nieszczęść, które, jako potop, w tak krótkim czasie cały kraj zalały. I sam prymas nie inną tego podawał przyczynę, jak nierząd, brak posłuchu i zbytnie sponiewieranie władzy i majestatu królewskiego.

Słuchano go w głębokiem milczeniu, bo każdy rozumiał, że tu o losy Rzeczypospolitej chodzi i o wielkie, niebywałe dotąd w niej zmiany, któreby mogły jej dawną potęgę przywrócić, a których zwłaszcza oddawna pragnęła mądra i miłująca przybraną ojczyznę królowa.

Płynęły więc z ust dostojnego księcia Kościoła słowa jak grzmoty, a w słuchaczach dusze otwierały się prawdzie, jako kwiaty otwierają się słońcu.

— Nie przeciw starodawnym wolnościom się oponuję, —• mówił prymas, — ale przeciw onej swawoli, która własnemi rękoma, własną

ojczyznę zarzyna... Zaiste, zapomniano już w tym kraju różnicy między wolnością i swawolą, i oto, jak zbytnia rozkosz boleścią, tak wyuzdana wolność niewolą się zakończyła. Do jakiegoż obłędu doszliście obywatele tej prześwietnej Rzeczypospolitej, iż ten tylko między wami za obrońcę wolności uchodzi, który hałasy czyni, sejmy rwie i majestatowi się przeciwi, nie wtedy, gdy trzeba, ale wtedy, gdy temuż majestatowi o zbawienie ojczyzny chodzi? W skarbie naszym dno skrzyni widać, żołnierz niepłatny, u nieprzyjaciela lafy szuka; sejmy, jedyny fundament tej Rzeczypospolitej, na niczem się rozchodzą, bo jeden swawolnik, jeden zły obywatel, dla prywaty swej, rady pomieszać może. Jakaż to wolność, która jednemu przeciw wszystkim oponować pozwala?... Zali ta wolność dla jednego, nie jest niewolą dla wszystkich?I gdzieżeśmy to doszli w zażywaniu tej wolności, jakież to ona smakowite fructa wydała?... A oto, jeden słaby nieprzyjaciel, nad którym przodkowie nasi tyle świetnych wiktoryj odnieśli, teraz „sicut fulgur exit ab occidente et paret usque ad orientem“ [x]. Nikt mu się nie oparł, zdrajcy heretycy mu pomogli — i wszystko posiadł, wiarę prześladuje, kościoły hańbi, i gdy mu o wolnościach waszych prawicie, on miecz wam pokazuje!... Oto, na co wam wy-

---

[1] jak błyskawica powstaje na wschodzie i rozświetla wszystko aż po zachód.

szły wasze sejmiki, wasze wetowanie [x], wasza swawola, wasze konfundowanie na każdym kroku majestatu!... Króla, przyrodzonego obrońcę ojczyzny, naprzód uczyniliście bezsilnym, a potem zasię narzekaliście, iż was nie broni!... Nie chcieliście swojego rządu, a teraz nieprzyjaciel wami rządzi... I kto, pytam, może z tego upadku nas ratować, kto dawny blask tej Rzeczypospolitej przywrócić, jeśli nie ten, który tyle zdrowia i wczasu już poświęcił, gdy ten kraj nieszczęsna domowa z Kozaki szarpała wojna; który na takowe niebezpieczeństwa poświęconą swą osobę podawał, jakich żaden monarcha w naszych czasach nie doznał; który pod Zborowem, pod Beresteczkiem i pod Żwańcem jak prosty żołnierz walczył, nad stan swój królewski trudy i niewygody ponosząc... Jemu to teraz się powierzmy, jemu, Rzymian starożytnych przykładem, dyktaturę w ręce oddajmy, sami zaś radźmy, jak w przyszłości ojczyznę tę od wewnętrznego nieprzyjaciela, od rozpusty, swawoli, nieładu i bezkarności ratować, a powagę rządu i majestatu należytą przywrócić!...

Tak przemawiał prymas, a nieszczęście i ostatnich czasów doświadczenie do tego stopnia przerodziły słuchaczów, że nikt nie protestował, wszyscy bowiem widzieli jasno, że albo władza królewska musi być wzmocniona,

---

[1] sprzeciwianie się zaponiocą liberum veto.

albo Rzeczpospolita zginie niechybnie. Rozpoczęły się więc różne deliberacje, jak najlepiej rady księdza prymasa do skutku przywieść, a królestwo słuchali ich chciwie i z radością, głównie królowa, która oddawna i usilnie nad wprowadzeniem ładu do Rzeczypospolitej pracowała.

Wracał więc król do Głogowej wesół i zadowolony, tam zaś, zwoławszy do swej komnaty kilku zaufanych oficerów, a między nimi i Kmicica, rzekł im:

— Pilno mi już i pali mnie pobyt w tej ziemi, chciałbym choć jutro wyruszyć, przeto wezwałem waszmościów, ażebyście, jako ludzie wojskowi i doświadczeni, prędkie sposoby obmyślili. Szkoda nam czasu tracić, skoro nasza obecność znacznie wojnę powszechną przyśpieszyć może.

— Pewnie, — rzekł pan Ługowski, — jeśli taka waszej królewskiej mości wola, to i poco zwłóczyć? Im prędzej, tern lepiej!

— Póki się rzecz nie rozgłosi i nieprzyjaciel baczności nie podwoi — dodał pułkownik Wolf.

— Nieprzyjaciel już się ma na baczności i szlaki poobsadzał, ile mógł — rzekł Kmicic.

— Jakto? — spytał król.

— Miłościwy panie, zamierzony powrót waszej królewskiej mości dla Szwedów nie nowina! Ledwie nie codzień rozchodzi się wieść po całej Rzeczypospolitej, żeś wasza królew-

ska mość już w drodze, albo już inter regna. Dlatego trzeba największą ostrożność zachować i cichaczem wąwozami się przemknąć, bo na drogach czyhają Duglasowe podjazdy.

— Najlepsza ostrożność, — rzeki, patrząc na Kmicica, pan Tyzenhauz, — to trzysta wiernych szabel, a skoro mnie pan miłościwy komendę nad niemi powierza, to go przeprowadzę w zdrowiu, choćby po brzuchach Duglasowych podjazdów.

— Przeprowadzisz waazmość pan, jeśli również trzysta, a dajmy na to sześćset, albo i tysiąc ludzi napotkasz, — ale jak trafisz na większą siłę w zasadzce czyhającą, to co się stanie ?

— Powiedziałem: trzysta, — odparł Tyzenhauz, — bo się o trzystu mówiło. Jeśli to jednak mało, to się o pięćset i więcej można postarać.

— Niechże Bóg broni! Im większa kupa, tern o niej głośniej! — rzekł Kmicic.

— Ba! Myślę przecie, że pan marszałek koronny wyskoczy nam ze swemi chorągwiami na spotkanie? — wtrącił król.

— Pan marszałek nie wyskoczy, — odpowiedział Kmicic, — bo dnia i godziny nie będzie wiedział, a choćby wiedział, to mogą w drodze zwłoki zajść,.jako zwyczajnie, trudno wszystko przewidzieć...

— Żołnierz to mówi, żołnierz prawdziwy!—- rzekł król. — Widać waszmości wojna nieobca.

Kmicic uśmiechnął się, bo wspomniał o swoich przeciw Chowańskiemu podchodach. Któż lepiej od niego znał się na takich sprawach! Komu słuszniej możnaby przeprowadzenie króla powierzyć?

Ale pan Tyzenhauz widocznie innego od królewskiego był zdania, bo zmarszczył brwi i rzekł z przekąsem do Kmicica:

— Czekamy tedy doświadczonej rady waścinej...

Kmicic poczuł niechęć w pytaniu, więc utkwił źrenice w Tyzenhauzie i odrzekł:

— Moje zdanie jest, że im mniejsza kupa będzie, tern łatwiej się przemknie.

— Więc jak ma być?

— Miłościwy panie! — rzekł Kmicic. — Wolna waszej królewskiej mości wola uczynić, jak zechce, ale mnie rozum tak uczy: niech pan Tyzenhauz naprzód z dragonją ruszy, głosząc umyślnie, że króla prowadzi, aby na siebie ściągnąć nieprzyjaciół. Jego rzecz tak się wywijać, aby iz matni wyjść cało. A my w niewielkiej kupie z osobą waszej królewskiej mości w dzień, albo we dwa za nim ruszymy, i gdy baczność nieprzyjaciela w inną zwróci się stronę, łatwo nam będzie przedostać się aż do Lubowli.

Król począł klaskać w ręce w uniesieniu.

— Bóg nam zesłał tego żołnierzyka! — wołał. — Salomon mądrzejby nie poradził! Całkiem Votum za tern zdaniem daję i nie ma

inaczej być! Będą króla między dragonami łapać, a król im pod nosem przejedzie. Dla Boga, nie może być nic lepszego!

— Mości królu! to krotochwila!... — zawołał Tyzenhauz.

— Żołnierska krotochwila! — odrzekł król. — Wreszcie niech będzie co chce, od tego nie odstąpię!

Kmicicowi oczy jarzyły się od radości, że jego zdanie przemogło, lecz Tyzenhauz porwał się z siedzenia.

— Miłościwy panie! — rzekł — zrzekam się komendy nad dragonami. Niech ich kto inny prowadzi!

— A to czemu? — spytał król.

— Bo jeśli bez obrony, miłościwy panie, pójdziesz, wydany na igrzysko fortuny, na wszystkie zgubne terminy, jakie się przygodzić mogą, to i ja chcę przy twej osobie być, piersi za ciebie nadstawić i polec w potrzebie.

— Dziękujem za szczerą intencję, — odrzekł Jan Kazimierz, — ale uspokójże się, bo właśnie w taki sposób, jak r.adzi Babinicz, najmniej narażeni będziemy.

— Co radzi pan... Babinicz, czy jak się tam nazywa, niech bierze na własną odpowiedzialność! Może mu zależy co na tern, byś w.asza królewska mość bez obrony w górach się zabłąkał... Ja Boga i tu obecnych towarzyszów na świadki biorę, żem z duszy odradzał!

Zaledwie skończył mówić, gdy i Kmicic porwał się, i stanąwszy panu Tyzenhauzowi twarzą w twarz, zapytał:

— Co waćpan rozumiesz przez te słowa?

Lecz Tyzenhauz zmierzył go dumnie oczyma od stóp do głowy.

— Nie sięgaj do mnie głową, mopanku, bo nie dosięgniesz!

A na to Kmicic już z błyskawicami w oczach:

— Niewiadomo, komu to byłoby za wysoko, gdyby...

— Gdyby co? — spytał, patrząc na niego bystro, Tyzenhauz.

— Sięgałem do wyższych, niż waszmość!

Tyzenhauz rośmiał się.

— A gdzieś ich waszmość szukał?

— Zamilknijcie! — rzekł nagle król, zmarszczywszy brwi. — Nie rozpoczynać mi tutaj gwarów!...

Jan Kazimierz czynił wrażenie takiej powagi na wszystkich otaczających, że obaj młodzi umilkli i zmieszali się, wspomniawszy, że to w obecności królewskiej wymknęły im się słowa tak nieskładne.

Król zaś rzekł:

— Nad tego kawalera, który kolubrynę wysadził i ze szwedzkich rąk się wydostał, nikt nie ma prawa się wynosić, choćby ojciec jego w zaścianku mieszkał, co, jak widzę, nie jest, bo ptaka z pierza, a krew z uczynków poznać łatwo. Zaniechajcie do siebie urazy. (Tu król

zwrócił się do Tyzenhauza). Ty chcesz, to przy osobie naszej zostań. Tego nam ci odmówić się nie godzi. Dragonów Wolf albo Denboff poprowadzi. Ale i Babinicz zostanie i za jego radą pójdziemy, bo nam do serca przypadła.

— Umywam ręce! — rzekł Tyzenhauz.

— Zachowajcie tylko w.aszmościowie tajemnicę. Dragoni niech dziś wyjdą do Raciborza... i wraz puścić jak najszerzej wieść, że i my znajdujemy się między nimi... A na potem czuwajcie, bo nie wiecie dnia ani godziny... Tyzenhauz! idź, wydaj rozkaz kapitanowi dragonji.

Tyzenhauz wyszedł, ręce łamiąc z gniewu i żalu, za nim rozeszli się inni oficerowie.

Tego samego dnia gruchnęła wieść po całej Głogowej, że majestat króla Jana Kazimierza wyruszył już do granic Rzeczypospolitej. Wielu nawet znacznych senatorów myślało, że wyjazd istotnie miał miejsce. Gońcy, umyślnie rozesłani, powieźli nowinę do Opola i ku szlakom granicznym.

Tyzenhauz, chociaż oświadczył, że umywa ręce, nie dał jednak za wygraną; że zaś, jako rękodajny królewski, miał przystęp w każdej chwili do osoby monarchy ułatwiony, tego samego więc dnia, już po wyruszeniu dragonów, stanął przed obliczem Jana Kazimierza, a raczej obojga królestwa, bo i Marja Ludwika była obecna.

— Przyszedłem po rozkazy, — rzekł, — kiedy wyruszamy?

— Pojutrze dodnia — rzekł król.

— Siła ludzi ma jechać?

— Pojedziesz ty, Babinicz, Ługowski, z żołnierzy. Pan kasztelan sandomierski rusza także ze mną; prosiłem go, by jak najmniej ludzi brał z sobą, ale bez kilkunastu się nie obejdzie; pewne to i doświadczone szable. Nadto jego świątobliwość nuncjusz chce także mi towarzyszyć, którego obecność doda powagi sprawie i wszystkich wiernych prawdziwemu Kościołowi poruszy. Nie waha się przeto swej poświęcanej osoby na hazard wyprawić. Ty pilnuj, aby nie było nad czterdzieści koni, bo tak Babinicz radził.

— Miłościwy panie! — rzekł Tyzenhauz.

— A czego jeszcze chcesz?

— Na kolanach o jedną łaskę błagam. Stało się już... dragoni wyszli... pojedziem bez obrony... i pierwszy podjazd z kilkudziesięciu koni może nas ogarnąć. Niechże wasza królewska mość przychyli się do błagania sługi swego, na którego wierność Bóg patrzy, i niech nie ufa ze wszystkiem temu szlachcicowi. Obrotny to człek, skoro się potrafił w tak krótkim czasie wkraść do serca i łaski waszej królewskiej mości, ale...

— Zali już mu zazdrościsz? — przerwał król.

— Nie zazdroszczę mu, miłościwy panie, nie clicę nawet o zdradę go stanowczo posądzać, ale przysiągłbym, że nie nazywa się Babinioz... Gzemu tedy prawdziwe nazwisko ukrywa? Czemu jakoś mu niesporo mówić, co robił przed oblężeniem Częstochowy? Czemu zwłaszcza tak napierał na to, by dragoni naprzód wyszli i by wasza królewska mość bez eskorty jechała?

Król zamyślił się nieco i począł swoim zwyczajem usta raz po raz nadymać.

— Gdyby chodziło o jakowąś zmowę ze Szwedami, — rzeki wreszcie, — co znaczy trzysta dragonów! Jakaż to siła i jaka zasłona?... Potrzebowałby tylko ów Babinicz dać znać Szwedom, by z kilkaset piechoty po drogach zasadzili, to i tak ujęliby nas jako w sieci. Ale się jeno zastanów, czy tu o zdradzie może być mowa? Musiałby naprzód wiedzieć termin i mieć czas do ostrzeżenia Szwedów w Krakowie, a jakże to być może, skoro pojutrze ruszamy? Nie mógł i tego odgadnąć, że pójdziem za jego racjami, bo mogliśmy tak samo pójść *za* twenii, albo innych... Z początku było przecie postanowione, że razem z dragonami ruszymy, więc gdyby cliciał się ze Szwedami umawiać, to właśnie takie osobne ruszenie pomieszałoby mu szyki, gdyż musiałby znowu gońców wysyłać i ostrzegać. Wszystko to są niezbite racje. A przytem nie upierał się on wcale przy swojem zdaniu, jak

mówisz, jeno tak gadał, jako i inni, co mu się najlepszem wydało. Nie, nie! Szczerość patrzy z oczu tego szlachcica, a spalony bok świadczy, że gotów i na mękę nie uważać.

— Jego królewska mość ma słuszność, — rzekła nagle królowa, — to są niezbite racje, a rada była i jest dobra.

Tyzenhauz wiedział z doświadczenia, że gdy królowa zdanie swe wyrzecze, to próżnoby od niego do króla apelować, tak ufał Jan Kazimierz jej bystrości i rozumowi. Chodziło też teraz młodemu panu o to tylko, by król potrzebne ostrożności zachował.

— Nie moja rzecz — odpowiedział — miłościwemu państwu negować. Jeśli jednak mamy pojutrze wyruszyć, niechże ów Babinicz nie wie o tein, aż w godzinę wyjazdu.

— To może być! — odparł król.

— A w drodze już ja sam będę go miał na oku i, broń Boże przygody, nie ujdzie żyw z moich rąk!

— Nie będzie potrzeby — rzekła królowa. — Słuchaj waszmość: króla od złej przygody w drodze i od zdrad i od sideł nieprzyjacielskich nie waszmość będziesz strzegł, nie Babinicz, ani dragoni, ani moce ziemskie, ale Opatrzność Boża, której oko ustawicznie na pasterzów narodów i pomazańców Bożych jest zwrócone. Ona to go będzie pilnować, Ona go uchroni i szczęśliwie doprowadzi, a w razie potrzeby ześle mu taką pomoc, ja-

kiej się nawet nie domyślacie, wy, którzy w ziemską tylko moc wierzycie.

— Najjaśniejsza pani! — odrzekł Tyzenhauz, — wierzę i ja, że bez woli Bożej nikomu włos z głowy nie spadnie, a że przez troskliwość o królewską osobę zdrajców się boję, to nie grzech.

Mar ja Ludwika uśmiechnęła się łaskawie.

— Ale zbyt śpiesznie posądzasz i hańbę na cały naród przez to rzucasz, w którym, jako ten sam Babinicz mówił, nie znalazł się jeszcze taki, coby przeciw własnemu królowi dłoń podniósł... Niechże ci to nie będzie dziwno, że po takiem opuszczeniu, po takiem złamaniu przysięgi i wiary, jakiej obojeśmy z miłościwym królem doświadczyli, ja przecie mówię, że na tak straszny występek niktby się nie odważył, nawet z tych, którzy dziś jeszcze Szwedom służą.

— A list księcia Bogusława, miłościwa pani?

— List nieprawdę mówi! — rzekła stanowczo królowa. — Jeśli jest jaki człowiek w Rzeczypospolitej gotowy zdradzić nawet króla, to może właśnie jeden książę koniuszy, bo on jeno z nazwiska do tego narodu należy.

— Krótko mówiąc, nie posądzaj Babinicza, — rzekł król, — gdyż i co do jego nazwiska musiało ci się w głowie podwoić. Możnaby go 'zresztą wybadać, ale jak mu tu i powiedzieć?... Jak go spytać: „Jeśli nie zwiesz się

Babilliez, to jak się zwiesz?“ Srodze może uczciwego człeka zaboleć takie pytanie, a głowę stawię, że on uczciwy.

— Za taką cenę nie chciałbym się, miłościwy panie, o jego uczciwości przekonywać.

— Dobrze, już dobrze! Wdzięczni ci jesteśmy za troskliwość. Jutrzejszy dzień na modlitwę i pokutę, a pojutrze w drogę! w drogę!

Tyzenliauz cofnął się z westchnieniem i tegoż jeszcze dnia rozpoczął w największej tajemnicy przygotowania do odjazdu. Nawet dygnitarze, którzy mieli towarzyszyć królowi, nie wszyscy byli ostrzeżeni o terminie. Służbie powiedziano tylko, żeby konie miała gotowe, bo lada dzień wyruszą z panami do Raciborza.

Król cały następny dzień nie pokazywał się nigdzie, nawet i w kościele, ale zato u siebie w mieszkaniu do nocy krzyżem przeleżał, poszcząc i Króla królów błagając o wspomożenie, nie dla siebie, ale dla Rzeczypospolitej.

Mar ja Ludwika wraz z pannami trwała także na modlitwie.

Następnie noc pokrzepiła siły strudzonych, i gdy w ciemnościach jeszcze dzwon głogowskiego kościoła ozwał się na jutrznię, wybiła godzina rozstania.

# ROZDZIAŁ IV.

Przez Racibórz przejechano, koniom tylko popasłszy. Nikt króla nie poznał, nikt na orszak nie zwrócił zbytniej uwagi, bo wszyscy byli zajęci niedawnem przejściem dragonów, między którymi, wedle powszechnego mniemania, monarcha polski miał się znajdować. Orszak ten jednak wynosił około pięćdziesięciu koni, gdyż królowi towarzyszyło kilku dygnitarzy, pięciu samych biskupów, a pomiędzy innymi i nuncjusz odważył się dzielić z nim trudy niebezpiecznej wyprawy. Droga jednak w granicach cesarstwa nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa. W Odergu, niedaleko ujścia Olszy do Odry, wjechano w granice Morawy.

Dzień był chmurny i śnieg walił tak gęsto, że na kilkanaście kroków nie było można dojrzeć drogi przed sobą. Ale król był wesół i pełen dobrej myśli, bo zdarzył się znak, który wszyscy za najpomyślniejszą poczytywali wróżbę, a którego współcześni historycy nie omieszkali nawet w kronikach zapisać. Oto przy samem wyruszeniu króla z Głogowy, pojawiła się przed koniem biała całkiem ptaszyna i poczęła krążyć, wzbijać się chwilami w górę, chwilami zniżać nad samą głową monarszą, kwiląc przytem i świegocąc radośnie. Wspominano, że podobny ptak, ale czarny, kręcił się nad królem, gdy w swoim

czasie z Warszawy przed Szwedami ustępował.

Owa zaś biała, całkiem wielkością i kształtem była do jaskółki podobna, co obudziło tem większy podziw, że zima była głęboka i jaskółki nie myślały jeszcze o powrocie. Uradowali się jednak wszyscy, król zaś przez pierwsze dnie o niczem innem nie mówił i najpomyślniejszą sobie przyszłość obiecywał. Również zaraz z początku drogi okazało się, jak dobrą była rada Kmicica, aby jechać osobno.

Wszędzie na Morawie opowiadano o niedawnym przejeździe króla polskiego. Niektórzy twierdzili, że widzieli go na własne oczy, całego w zbroi, z mieczem w ręku i koroną na głowie. Różne też już chodziły wieści o sile, jaką ze sobą prowadził, i wogóle przesadzano do bajecznych rozmiarów liczbę dragonów. Byli i tacy, którzy widzieli z dziesięć tysięcy, iż się końca szeregów, koni, ludzi, chorągwi i znaków doczekać nie mogli.

— Pewnie — mówiono — Szwedzi zaskoczą im drogę, ale czy poradzą takowej potędze, niewiadomo.

— A co? — pytał Tyzenhauza król — nie miał Babinicz racji?

— Jeszcześmy nie stanęli w Lubowli, miłościwy panie — odpowiadał młody magnat.

Babinicz zaś kontent był z siebie i z podróży. Wraz z trzema Kiemliczami trzymał

się zwykle naprzód przed orszakiem królewskim, rozpatrując drogę; czasem jechał ze wszystkimi, zabawiając króla opowiadaniem pojedynczych wypadków z oblężenia Częstochowy, których Janowi Kazimierzowi nigdy nie było dosyć. I z każdą niemal godziną przypadał lepiej królowi do serca ów junak, wesół, dziarski, do młodego orła podobny. Czas schodził monarsze to na modlitwie, to na pobożnych rozmyślaniach o życiu wiekuistem, to na rozmowach o wojnie przyszłej i pomocy, spodziewanej od cesarza, to wreszcie na przypatrywaniu się zabawom rycerskim, któremi towarzyszący żołnierze starali się czas podróży skrócić. Miał to bowiem w swej naturze Jan Kazimierz, że umysł jego łatwo przechodził od powagi do pustoty niemal, i od ciężkiej pracy do rozrywek, którym, gdy przyszła na niego taka chwila, oddawał się duszą całą, jakby żadna troska, żadne zmartwienie nie obciążało go nigdy.

Popisywali się tedy żołnierze, czem który umiał; młodzi Kiemlicze, Kosma i Damjan, bawili króla swemi ogromnemi i niezgrabnemi postawami i łamaniem ¡podków, jako trzcin, on zaś kazał im za każdą po talarze dawać, chociaż w sakwach dość było pusto, bo wszystkie pieniądze, nawet klejnoty i „parafanały“ [1] królowej poszły na wojsko.

---

[1] wyprawa ślubna.

Pan Andrzej popisywał się rzucaniem ciężkiego obuszka, który tak silnie w górę puszczał, że prawie go widać nie było, a on nadlatywał koniem i cliwytał go w lot za rękojeść. Król na ów widok aż w ręce klaskał.

— Widziałem, — mówił, — jako to pan Słuszka, brat pani podkanclerzyny [1], czynił, ale i on nie miotał przez pół tak wysoko.

— U nas to we zwyczaju na Litwie, — odpowiadał pan Andrzej, — a gdy się człek z dzieciństwa wprawia, to i do biegłości dojdzie.

— Skądże to masz tę kresę przez gębę! — spytał pewnego razu król, pokazując na bliznę Kmicica. — Dobrze cię ktoś szablą przejechał.

— To nie od szabli, miłościwy panie, jeno od kuli. Strzelono do mnie, lufę mi do gęby przyłożywszy,

— Nieprzyjaciel czyli swój?

— Swój, ale nieprzyjaciel, którego do porachunku jeszcze wezwę i póki się to nie stanie, mówić mi się o tern nie godzi.

— Taki-żeś to zawzięty?

— Nie mam ja żadnej zawziętości, miłościwy panie, bo oto[1] na łbie głębszą jeszcze szczerbę od szabli noszę, którą szczerbą mało dusza ze mnie nie uszła, ale że mi ją zacny

[1] Radziejowskiej.

człowiek uczynił, przeto urazy do niego nie żywię.

To rzekłszy Kmicic, zdjął czapkę i ukazał królowi głęboką brózdę, której białawe brzegi widne były doskonale.

— Nie wstyd mi tej rany, — rzeki, — bo mi ją zadał taki mistrz, jak niemasz drugiego w Rzeczypospolitej.

— Któren-że to jest taki mistrz?

— Pan Wołodyjowski.

— Dla Boga! Toż ja go znam. Cudów on pod Zbarażem dokazywał. A potem byłem na weselu towarzysza jego Skrzetuskiego, który mi pierwszy z oblężonego Zbaraża wieści przywiózł. Wielcy to kawalerowie! A był z nimi i trzeci; tego całe wojsko sławiło, jako największego rycerza. Gruby szlachcic, a tak krotochwilny, żeśmy na weselu mało boków od śmiechu nie pozrywali.

— To pan Zagłoba, zgaduję! — rzekł Kmicic, — człek to nietylko mężny, ale dziwnych fortelów pełen.

— Cóż oni teraz czynią, nie wiesz?

— Wołodyjowski u księcia wojewody wileńskiego dragonami dowodził.

Król zasępił się.

— I razem z księciem wojewodą Szwedom teraz służy?

—• On? Szwedom? On jest przy panu Sapieże. Sam widziałem, jak po zdradzie księcia wojewody buławę mu pod nogi cisnął.

— O, to godny żołnierz!-------odrzekł król. — Od pana Sapiehy mieliśmy wiadomości z Tykocina, w którym księcia wojewodę obiegł. Niech mu Bóg szczęści! Gdyby wszyscy byli do niego podobni, . jużby ów nieprzyjaciel szwedzki pożałował swojej imprezy.

Tu Tyzenhauz, który słyszał całą rozmowę, spytał nagle:

— Toś waść był w Kiejdanach u Radziwiłła?

Kmicic zmieszał się nieco i zaczął podrzucać swój obuszek.

— Byłem —■ odrzekł.

—- Daj pokój obuszkowi — mówił dalej pan Tyzenhauz. — A cóżeś to porabiał na książęcym dworze?

-— Gościem byłem — odrzekł niecierpliwie Kmicic — i książęcy chleb jadłem, póki mi nie obrzydł po zdradzie.

— A czemuś to z innymi zacnymi żołnierzami do pana Sapiehy nie poszedł?

— Bom sobie ślub do Częstochowy uczynił, co tern łatwiej waszmość zrozumiesz, gdy ci powiem, że nasza Ostra Brama była przez Sep tentrjonów zajęta.

Pan Tyzenhauz począł głową kręcić i cmokać, aż to zwróciło uwagę króla, tak, że i sam począł patrzeć badawczej na Kmicica.

Ten zaś zniecierpliwiony zwrócił się do Tyzenhauza i rzekł:

— Mój mości panie! Czemu to ja się

waćpana nie wypytuję, gdzieś przebywał i coś robił?

•— Wypytuj waść — odrzekł Tyzenhauz. — Ja nie matm nic do ukrywania.

— Ja też nie stoję przed sądem, a jeśli stanę kiedy, to nie waść będziesz moim sędzią. Zaniechaj mnie tedy, abym zaś cierpliwości nie stracił.

To rzekłszy, wyrzucił obuch tak szparko, że aż zmalał na wysokości, król oczy za nim podniósł i w tej chwili nie myślał już .o niczem innem, jak tylko o tern, czy Babinicz uchwyci go w lot, czy nie uchwyci...

Babinicz spiął konia, skoczył i uchwycił.

Lecz tego samego wieczora Tyzenhauz irzekl do króla:

— Miłościwy panie, coraz mniej mi się ten szlachcic podoba!,..

— A mnie coraz więcej! — rzekł, wydymając usta, król.

— Słyszałem dziś, jak jeden z jego ludzi nazwał go pułkownikiem, a on tylko spojrzał groźnie i zaraz tamtego skonfundował. W tern coś jest!

— I mnie się czasem widzi, — rzekł król, — że on nie chce wszystkiego gadać, ale to jego sprawa.

— Nie, miłościwy panie! — zawołał gwałtownie Tyzenhauz, — to nie jego sprawa, to sprawa nasza i całej Rzeczypospolitej... Bo jeśli to jaki przedawczyk, który zgubę waszej

królewskiej mości, albo niewolę gotuje, to zginą razem z waszą królewską mością wszyscy ci, którzy w tej chwili oręż podnoszą, zginie cała Rzeczpospolita, którą ty jeden, miłościwy panie, ratować możes^.

— To go jutro sam wypytam.

—■ Bogdajbym był fałszywym prorokiem, ale jemu nic dobrego z oczu nie patrzy. Nadto on szparki, nadto śmiały, zbyt wielki rezolut[1], a tacy ludzie na wszystko się ważą.

Król zafrasował się.

Nazajutrz, sikoro dzień, gdy ruszono w drogę, kiwnął na Kmicica, by zbliżył się ku niemu.

— Gdzieś ty był pułkownikiem? — spytał król nagle.

Nastała chwila milczenia.

Kmicic walczył sam ze sobą; paliła go chęć zeskoczyć z konia, upaść do nóg królewskich i raz zrzucić z siebie ten ciężar, który dźwigał, raz powiedzieć całą prawdę.

Lecz ze zgrozą pomyślał znowu, jak straszne wrażenie musi uczynić to nazwisko: Kmicic, zwłaszcza po liście księcia Bogusława Radziwiłła.

Jakże on, niegdyś prawa ręka księcia wojewody wileńskiego, on, który przewagę jego utrzymał, do rozbicia nieposłusznych chorągwi dopomógł, w zdradzie sekundował; jakże

---

[1] odważny.

on, posądzony i oskarżony o najstraszniejszą zbrodnię zamachu na wolność królewską, zdoła teraz przekonać króla, bisikupów i senatorów, że się poprawił, że się przerodził i krwią za swe winy odpokutował?... Gzem zdoła swych szczerych intencyj dowieść, jakie dowody, prócz gołych słów, może złożyć?...

Dawne winy ścigały go ciągle i nieubłaganie jako psy zażarte ścigają zwierza w kniei.

Więc postanowił zamilczeć.

Ale uczuł jednocześnie niewypowiedziany wstręt i obrzydzenie do wykrętów. Zali miałby temu panu, tak ze wszystkich sił duszy kochanemu, rzucać piasek w oczy i wymyślonemi historjami go zwodzić?

Czuł, że do tego zbraknie nru sił.

Więc po chwili talk mówić począł:

— Miłościwy królu! Przyjdzie czas, może niezadługo, że będę mógł waszej królewskiej mości całą duszę jako księdzu na spowiedzi otworzyć... Ale chcę, żeby pierwej za mnie, za moją szczerą intencję, za wierność i za miłość do majestatu, uczynki jakowe, nie gołe słowa, zaręczyły. Grzeszyłem, miłościwy panie, grzeszyłem przeciw tobie i ojczyźnie, a za mało mam jeszcze pokuty, więc takiej służby szukam, w którejby poprawę łatwo znaleźć... Kto wreszcie nie grzeszył? Kto nie potrzebuje bić się w piersi w całej tej Rzeczypospolitej? Być to może, żem ciężej zawinił od innych, alem się też i pierwej obejrzał... Nie pytaj,

miłościwy panie, o nic, póki cię teraźniejsza służba o mnie nie przekona; nie pytaj, bo nie mogę nic powiedzieć, aby sobie drogi zbawienia nie zamknąć, bo Bóg mi świadek i Najświętsza Panna Królowa nasza, żem tego nie zmyślił, iż ostatnią kroplę krwi gotowym za ciebie oddać...

Tu oczy pana Andrzeja zwilgotniały, a taka szczerość i żal rozświeciły mu twarz, że oblicze silniej jeszcze od słów go broniło.

— Bóg patrzy na intencje moje — mówił dalej — i na sądzie mi je policzy... Ale jeśli mi, miłościwy panie, nie ufasz, to mnie wypędź, to oddal mnie od osoby swojej. Pojadę za śladem twoim, opodal, aby w jakiej ciężkiej chwili przybyć, choć i bez zawołania, i głowę położyć za ciebie. A wówczas, miłościwy panie uwierzysz, żem nie zdrajca, ale jeden -z takich sług, jakich nie masz, miłościwy panie, wielu, nawet między tymi, którzy na innych podejrzenia rzucają.

— Ja ci i dziś wierzę — rzeki król. — Zostań po staremu przy osobie naszej, bo nie zdrada tak przemawia.

— Dziękuję waszej królewskiej mości! — rzekł Kmicic.

I powstrzymawszy nieco konia, wycofał się między ostatnie szeregi orszaku.

Lecz Tyzenhauz nie ograniczył się na udzieleniu swych podejrzeń samemu tylko królowi, skutkiem czego wszyscy poczęli zezem na

Kmicica spoglądać. Głośniejsze -rozmowy ustawały, gdy się zbliżył, a poczynały się szepty. Śledzono każdy jego ruch, rozważano -każde słowo. Spostrzegł to pan Andrzej i uczyniło mu się źle między tymi ludźmi.

Nawet król, chociaż nie odebrał mu zaufania, nie miał już dla niego tak wesołego, jak dawniej oblicza. Więc młody junak stracił fantazję, sposępniał, żal i gorycz opanowały mu serce. Dawniej na przedzie, między pierwszymi, zwykł był toczyć koniem, teraz wlókł się o kilkaset kroków za kawalkatą, z głową spuszczoną i ponuremi myślami w głowie.

Aż wreszcie zabielały przed jeźdźcami Karpaty. Śniegi leżały na ich skłonach, chmury rozkładały swe ociężałe cielska na szczytach, a gdy wieczór zdarzył się pogodny, wówczas przy zachodzie przywdziewały owe góry szaty płomienne, i blaski szły od nich okrutne, póki nie zgasły w mrokach cały świat obejmujących. Patrzył więc Kmicic na owe cuda natury, których dotąd nigdy jeszcze w życiu nie widział, i choć wielce stroskany, o troskach z podziwu zapominał.

Z każdym dniem olbrzymy owe stawały się większe, potężniejsze. Aż wreszcie dojechał do nich orszak królewski i zapuścił się w wąwozy, które nagle jakoby bramy otworzyły się przed nim.

— Granica musi być już niedaleko — rzekł ze wzruszeniem król.

Wtem dostrzeżono wózek, zaprzężony w jednego konia, a w wózku człeka. Królewscy ludzie zatrzymali go zaraz.

— Człeku, — spytał Tyzenhauz, — a czy my to już w Polsce?

— Tam on za tą skałą i za rzeczką cesarska granica, a wy już na królewskiej ziemi stoicie.

— Którędy zaś do Żywca?

— Prosto tędy do drogi się dostaniecie.

I góral zaciął szkapinę, Tyzenhauz zaś skoczył do stojącego opodal orszaku:

— Miłościwy panie, — zakrzyknął z uniesieniem, — stanąłeś już inter regna, ho oto twoje od onej rzeczułki królestwo!

Król nie odrzekł nic, skinął tylko, by mu konia potrzymano, sarn zaś zsiadł i rzucił się na kolana, podniósłszy oczy i ręce w górę.

Na ten widok zsiedli wszyscy i poszli za jego przykładem; ów król zaś, tułacz, padł po chwili krzyżem w śnieg i począł całować tę ziemię tak ukochaną, a tak niewdzięczną, która w chwili klęski, schronienia jego królewskiej głowie odmówiła.

Nastała cisza i tylko westchnienia ją mąciły.

Wieczór był mroźny, pogodny, góry i szczyty pobliskich jodeł płonęły purpurą, a dalsze w ciemne już poczęły się ubierać fiolety, lecz droga, na której leżał król, mieniła się niby czerwona i złota wstęga; blaski te padały na króla, biskupów i dygnitarzy.

Wtem ze szczytów wstał wiatr, i niosąc na skrzydłach skry śnieżne, zleciał do doliny. Więc jodły pobliskie poczęły pochylać pokryte okiiścią czuby i kłaniać się panu i szumieć gwarno a radośnie, jakby śpiewały ową dawną pieśń:

— Witajże nam, witaj, miły hospodynie!...

Mrok już nasycał powietrze, gdy orszak królewski ruszył dalej. Za wąwozem roztoczyła się szersza dolina, której drugi koniec gubił się w oddaleniu. Blaski gasły naokoło, tylko w jednem miejscu niebo świeciło się jeszcze czerwono.



Król począł odmawiać: „Ave Maria“[1], za nim inni w skupieniu ducha powtarzali pobożne słowa.

Ziemia rodzima, dawno nie widziana, góry pokrywające się nocą, gasnące zorze, modlitwy, wszystko to nastroiło uroczyście serca i umysły, więc po ukończonych modlitwach jechali w milczeniu, król, dygnitarze i rycerze.

Następnie noc zapadła, jeno we wschodniej stronie niebo świeciło się coraz czerwieniej.

— Pojedziem ku tym zorzom, — rzekł wreszcie król, — dziw, że jeszcze świecą.

Wtem przycwałował Kmicic.

— Miłościwy panie! to pożar! — zakrzyknął.

---

[1] Zdrowaś Marjo.

Zatrzymali się wszyscy.

— Jakże to? — pytał król — mnie się widzi, że to zorze!...

— Pożar, pożar! Ja się nie mylę! — wołał pan Kmicic.

I istotnie, ze wszystkich towarzyszów królewskich, on znał się na tern najlepiej.

Wreszcie nie było można dłużej wątpić, gdyż ponad ową mniemaną zorzą podniosły się jakby chmury czerwone i kłębiły się, jaśniejąc i ciemniejąc naprzemian.

— To chyba Żywiec się pali! — zawołał król. — Nieprzyjaciel może tam grasować!

Nie skończył jeszcze, gdy do uszu patrzących doleciał gwar ludzki, parskanie koni, i kilkanaście ciemnych postaci zamajaczyło przed orszakiem.

— Stój! stój! — począł wołać Tyzenhauz.

Postacie owe zatrzymały się, jakby niepewne, co dalej mają czynić.

— Ludzie! kto wy? — pytano dalej z orszaku.

— To swoi! — ozwało się kilka głosów.— Swoi! My z Żywca gardła unosim; Szwedzi Żywiec palą i ludzi mordują!

— Stójcie! na Boga!... co gadacie?... Skąd oni się tam wzięli?

— Oni, panoczku, na naszego króla czatowali. Siła ich, siła! Niechże go Matka Boska ma w swej opiece!...

Tyzenhauz stracił na chwilę głowę.

— Ot, co jechać w małej kupie! — krzyknął na Kmicica, — bogdaj cię za takową radę zabito!

Lecz Jan Kazimierz począł sam wypytywać uciekających:

— A gdzie król? — spytał.

— Król poszedł w góry z wielkiem wojskiem i dwa dni temu przez Żywiec przejeżdżał, ale oni go naścigli i tam się gdzieś wedle Suchej bili... Nie wiemy, czy go dostali, czy nie, ale dziś pod wieczór do Żywca wrócili i palą, mordują...

— Jedźcie z Bogiem, ludzie! — rzekł Jan Kazimierz.

Uciekający przemknęli szybko.

— Ot, coby nas było spotkało, gdybyśmy z dragonami jechali! — zawołał Kmicic.

— Miłościwy królu! — ozwał się ksiądz biskup Gębicki — nieprzyjaciel przed nami... Co nam uczynić?

Wszyscy otoczyli króla naokoło, jakby go chcieli osobami swemi od nagłego niebezpieczeństwa zasłonić, lecz on spoglądał na łunę, która odbijała się w jego źrenicach, i milczał; nikt też pierwszy nie wyrywał się ze zdaniem, tak ciężko było coś dobrego poradzić.

— Gdym wyjeżdżał z ojczyzny, świeciła mi łuna, — rzekł wreszcie Jan Kazimierz, — gdy wjeżdżam, druga mi świeci...

I znowu nastało milczenie, tylko dłuższe jeszcze, niż poprzednio.

— Kto ma jakową radę? — spytał nakoniec ksiądz Gębicki.

Wtem zabrzmiał głos Tyzenhauza, pełen goryczy i urągania:

—■ Kto się nie wahał osoby pańskiej na szwank wystawić, kto namawiał, by król bez straży jechał, ten niech teraz rady udzieli!

W tej chwili jeden jeździec wysunął się z koła; był to Kmicic.

— Dobrze! — rzekł.

I podniósłszy się w strzemionach, krzyknął, zwróciwszy się ku stojącej opodal czeladzi:

— Kiemlicze, za mną!

To rzekłszy, puścił konia w cwał, a za nim trzech jeźdźców pomknęło co tchu w piersiach końskich.

Krzyk rozpaczy wydobył się z piersi pana Tyzenhauza.

— To zmowa! — rzekł------- zdrajcy znać dadzą! Mości królu, ratuj się, póki czas, bo i wąwóz wkrótce nieprzyjaciel zamknie! Mości królu, ratuj się! nazad! nazad!

— Wracajmy, wracajmy! — zawołali jednogłośnie biskupi i dygnitarze.

Lecz Jan Kazimierz zniecierpliwił się, z ócz poczęły iść mu błyskawice, — nagle wydobył szpadę z pochwy i zawołał:

— Nie daj Bóg, abym z własnej ziemi drugi raz miał uchodzić! Niech się stanie, co ma być, dosyć mi tego!

I spiął konia ostrogami, by ruszyć naprzód, lecz sam nuncjusz pochwycił za lejce.

— Wasza królewska mość, — rzekł z powagą, — losy ojczyzny i Kościoła katolickiego dźwigasz na sobie, więc ci nie wolno osoby swej narażać!

— Nie wolno! — powtórzyli biskupi.

— Nie wrócę na Śląsk, tak mi dopomóż święty Krzyż! — odpowiedział Jan Kazimierz.

— Miłościwy panie! wysłuchaj próśb twych poddanych! — rzekł, składając ręce, kasztelan sandomierski. — Jeżeli żadną miarą nie chcesz do cesarskich krajów się nakłonić, to nawróćmy przynajmniej z tego miejsca i ku granicy węgierskiej się skierujmy, albo przejdźmy nazad ów wąwóz, aby nam powrotu nie przecięto. Tak czekać będziem. W razie nadejścia nieprzyjaciela, w koniach ratunek zostanie, ale przynajmniej nas jako w pułapce nie zamkną.

— Niechże i tak będzie — rzekł łagodniej król. — Nie odrzucam ja rozumnej rady, ale na tułactwo drugi raz nie pójdę. Jeśli tędy nie można się będzie przedostać, to indziej się przedostaniem. Wszelako tak myślę, że waszmościowie napróżno się strachacie. Skoro ci Szwedzi nas między dragonami szukali, jako ludzie z Żywca mówili, to właśnie dowód, że o nas nie wiedzą i że zdrady ani zmowy nijakiej nie było. Weźcie waszmościowie to na ro-

zum, jesteście ludzie doświadczeni. Nie -zaczepialiby ci Szwedzi dragonów, nie wystrzeliliby do nich ni razu, gdyby mieli wiadomość, że za dragonami jedziemy. Uspokójcie się, waszmościowie! Babinicz ze swymi pojechał po wieści i pewnie niebawem powróci.

To rzekłszy, król nawrócił konia ku wąwozowi, -za nim towarzysze. Zatrzymali się tam, gdzie im pierwszy przejezdny góral samą granicę wskazywał.

Upłynął kwadrans, poczem pół godziny, i godzina.

—• Czy uważacie wasze dostojności, — ozwał się nagle wojewoda łęczycki, — iż łuna zmniejsza się?

— Gaśnie, gaśnie prawie w oczach! — odrzekło kilka głosów.

— To dobry znak! ■— zauważył król.

— Pojadę ja naprzód z kilkunastoma ludźmi — ozwał się Tyzenhauz. — 0 stąję stąd staniemy i gdyby Szwedzi nadciągali, to ich zatrzymamy na sobie, dopóki nie polegniem. W każdym razie będzie czas o bezpieczeństwie osoby pańskiej pomyśleć.

— Trzymaj się kupy, zakazuję ci jechać! — rzekł król.

A na to Tyzenhauz:

—■ Miłościwy panie! każesz mnie później za nieposłuszeństwo rozstrzelać, ale teraz pojadę, bo tu o ciebie chodzi!

I skrzyknąwszy kilkunastu żołnierzy, któ-

rym można było zaufać w każdej potrzebie, ruszył naprzód.

Stanęli u drugiego wyjścia wąwozu w dolinę — i stali cicho z gotowemi rusznicami, nadstawiając uszu na każdy szelest.

Długi czas trwało milczenie, nakoniec doleciał ich chrzęst śniegu tratowanego kopytami.

— Jadą! — szepnął jeden z żołnierzy.

— Nie żadna to kupa, kilka tylko koni słychać — odpowiedział drugi. — Pan Babinicz wraca!

Tymczasem nadjeżdżający zbliżyli się w ciemnościach na kilkadziesiąt kroków.

— Werdo? — zakrzyknął Tyzenhauz.

— Swoi! nie strzelać tam! — zabrzmiał głos Kmicica.

W tejże chwili on sam pojawił się przed Tyzenhauzem i, nie poznawszy go w ciemności, spytał:

— A gdzie król?

— Tam, opodal, za wąwozem! — odrzekł uspokojony Tyzenhauz.

— Kto mówi, bo nie można rozeznać?

— Tyzenhauz! A co to takiego wielkiego wieziesz waszmość przed sobą?

To rzekłszy, ukazał na jakiś ciemny kształt, zwieszający się przed Kmicicem na przodku kulbaki.

Lecz pan Andrzej nie odpowiedział nic i przejechał mimo. Dotarłszy do orszaku kró-

lewskiego, rozeznał osobę króla, bo za wąwozem daleko było jaśniej, i zawołał:

— Miłościwy panie, wolna droga!

— Niemasz już w Żywcu Szwedów?

— Odciągnęli ku Wadowicom. To był niemiecki oddział najemny. Ot, zresztą jest tu jeden, sam go, miłościwy panie, wybadaj !

I nagle pan Andrzej cisnął na ziemię z kulbaki ów kształt, który trzymał przed sobą, aż jęk rozległ się w ciszy nocnej.

— Co to jest? — pytał zdumiony król.

— To? Rajtar!

— Na miły Bóg! Toś i języka przywiózł. Jakże to? powiadaj!

— Miłościwy panie! Gdy wilk nocą za stadem owiec idzie, łatwo inu jedną sztukę porwać, a zresztą, żeby prawdę rzec, to mi taka sprawa nie pierwszyzna.

Król ręce do głowy podniósł.

— Ale to żołnierz ten Babinicz, niech go kule biją! Imainujcie waszmościowie... Widzę, że mając takich sług, mogę choćby w środek Szwedów jechać!

Tymczasem otoczyli wszyscy rajtara, który jednak nie podnosił się z ziemi.

— Pytaj go, miłościwy panie, — odpowiedział nie bez pewnej chełpliwości w głosie Kmicic, — choć nie wiem, czy będzie mógł odpowiadać, bo trochę przyduszon, a niemasz tu, czemby go przypiec.

— Wlejcie mu gorzałki w gardło — rzekł król.

I istotnie lepiej to lekarstwo pomogło od przypiekania, bo rajtar wkrótce odzyskał siły i głos. A wówczas pan Kmicic, przyłożywszy mu sztych do gardła, kazał opowiadać całą prawdę.

Zeznał tedy ów jeniec, że należy do regimentu pułkownika Irlehorna, że mieli wiadomość o przejeździe króla z dragonami, więc napadli na nich koło Suchej, ale wziąwszy wstręt należyty, musieli się cofnąć do Żywca, skąd pociągnęli do Wadowic i Krakowa, bo takie mieli rozkazy.

— Zali w górach niema innych oddziałów szwedzkich? — pytał po niemiecku Kmicic, pociskając nieco silniej gardło rajtara.

— Może są jakowe — odpowiedział przerywanym głosem rajtar; — jenerał Duglas porozsyłał podjazdy, ale się wszystkie cofają, bo chłopstwo w wąwozach na nie napada.

— A w pobliżu Żywca wyście jedni byli?

— My jedni.

•— I wiecie, że król polski już przejechał?

— Przejechał z tymi dragonami, którzy się o nas w Suchej obtarli. Wielu go widziało.

— Czemuście go nie ścigali?

— Baliśmy się górali.

Tu Kmicic ozwał się znów po polsku:

— Miłościwy panie! Droga wolna, a i noc-

leg w Żywcu się znajdzie, bo jeno część osady spalona...

Lecz nieufny Tyzenhauz rozmawiał przez ten czas z panem kasztelanem wojnickim i tak mówił:

— Albo to jest żołnierz wielki i szczery jak złoto, albo zdrajca kuty na cztery nogi... Zważ wasza dostojność, że to wszystko może być symulowane, od wzięcia tego rajtara aż do jego zeznań. A jeśli to umyślne? Jeśli Szwedzi siedzą przyczajeni w Żywcu? Jeśli król pojedzie i wpadnie jako w matnię?...

— Bezpieczniej się przekonać — odrzekł kasztelan wojnicki.

Więc pan Tyzenhauz zwrócił się do króla i rzekł głośno:

— Pozwól miłościwy panie, żebym ja naprzód do Żywca ruszył i przekonał się, czyli to prawda, co ów kawaler i ów rajtar powiadają.

— Niechże tak będzie! Pozwól, miłościwy panie, niech jedzie! — zawołał Kmicic.

— Jedź, — rzekł król, — ale i my ruszymy nieco naprzód, bo zimno.

Pan Tyzenhauz ruszył z kopyta, a orszak królewski jął posuwać się za nim zwolna. Król odzyskał dobry humor i wesołość i po niejakim czasie rzekł do Kmicica:

— Ale to z tobą możnaby jako z sokołem na Szwedów polować, bo z góry uderzasz !

— Tak to i było — odrzekł pan Andrzej.— Jak wasza królewska mość zechce zapolować, to sokół zawsze gotów!

— Powiadaj, jakżeś go ucapił?

— To nietrudno, miłościwy panie! Zwyczajnie gdy pułk idzie, zawsze kilkunastu ludzi ztyłu się wlecze, a ten się na pół stajania został. Podjechałem za nim; on myślał, że swój, nie strzegł się, i nim się opamiętał, jużem go porwał, gębę mu przydusiwszy, ażeby nie krzyczał.

— Mówiłeś, że ci to nie pierwszyzna. Zaliżeś to już kiedy pierwej praktykował?

Kmicic rozśmiał się.

—■ Oj, oj! miłościwy panie! praktykowałem, i to, i co lepszego. Niech wasza królewska mość jeno rozkaże, a znowu skoczę, dognam ich, bo konie mają zdrożone, i jeszcze jednego ucapię i Kiemliczom moim każę ucapić.

Czas jakiś jechali w milczeniu, nagle tętent konia rozległ się i nadleciał Tyzenhauz.

— Mości królu! — rzekł — droga wolna i nocleg zamówiony.

— A nie mówiłem?! —• zawołał Jan Kazimierz. — Niepotrzebnieście się waszmościowie troskali... Jedźmy teraz, bo nam się spoczynek należy!

Wszyscy ruszyli rysią, raźno, wesoło •— i w godzinę później zasnął utrudzony król bezpiecznym snem na własnej ziemi.

Tegoż wieczora pan Tyzenhauz zbliżył się do Kmicica.

— Wybacz waszmość, — rzekł, — z miłości to do pana cię podejrzywałem.

Lecz Kmicic umknął mu ręki.

— O, nie może być! — odrzekł. — Zdrajcą i przedawczykiem mnie czyniłeś...

— Byłbym i więcej uczynił, bo byłbym waści w łeb strzelił, — rzekł Tyzenhauz, — ale gdym się przekonał, żeś zacny człowiek i króla miłujesz, rękę ci wyciągnąłem. Chcesz, przyjmij — nie chcesz, nie przyjmuj... Wołałbym z tobą jeno w przywiązaniu do osoby pańskiej emulować... Ale i innej emulacji się nie przestraszę.

— Tak waszmość myślisz?... Hm! może masz i słuszność, ale mi na waćpana mruczno.

— To przestań mruczeć... Tęgi z waszmości żołnierz! No! a dawaj-no gęby, byśmy się w nienawiści spać nie układli.

— Niechże tak będzie! — rzekł Kmicic.

I padli sobie w objęcia.

## ROZDZIAŁ V.

Orszak królewski późną nocą dotarł do Żywca i prawie nie zwrócił uwagi w miasteczku, przerażonern niedawnym napadem szwedzkiego oddziału. Król nie zajeżdżał do zamku, który poprzednio już był spustoszony

od Szwedów, a w części spalony, ale stanął w plebanji. Tam Kmicic rozpuścił wiadomość, iż to poseł cesarski ze Śląska udaje się do Krakowa.

Jakoż nazajutrz wyruszyli ku Wadowicom i dopiero znacznie za miastem skręcili do Suchej. Stamtąd przez Krzeczonów mieli jechać do Jordanowa, stamtąd do Nowego Targu, i gdyby się okazało, że niema podjazdów szwedzkich pod Czorsztynem, to do Czorsztyna, gdyby zaś były, to skręcić mieli do Węgier i węgierską ziemią ciągnąć aż do Lubowli. Spodziewał się też król, że pan marszałek wielki koronny, który rozporządzał tak znacznemi siłami, jakich nie miał niejeden książę panujący, poubezpiecza drogi i sam naprzeciw panu wyskoczy. Mogło mu pomieszać szyki tylko to, że nie wiedział, którędy król ciągnie; ale przecież między góralami nie brakło wiernych ludzi, gotowych zanieść panu marszałkowi umówione słowa. Nie potrzeba im było nawet tajemnicy powierzać, bo szli chętnie, skoro im powiedziano, że o służbę królewską idzie. Był to bowiem lud duszą i sercem królowi oddany, chociaż ubogi i pół jeszcze dziki, mało, albo wcale uprawą niewdzięcznej roli się nie trudniący, żyjący z chowu bydła, pobożny i nienawidzący heretyków. Oni to pierwsi, gdy rozeszła się wieść o wzięciu Krakowa, a zwłaszcza o oblężeniu Częstochowy, do której pobożne pielgrzymki

odprawiać zwykli, porwali za toporzyska swoich siekier i ruszyli się z gór. Jenerał Duglas, znakomity wojownik, opatrzony w działa i strzelby, rozproszył ich wprawdzie z łatwością w równinach, na których bić się nie przywykli; natomiast Szwedzi z największemi tylko ostrożnościami zapuszczali się we właściwe ich siedziby, w których dosięgnąć ich było niepodobna, a ponieść klęskę łatwo. Zginęło też kilka pomniejszych oddziałów, które się nieopatrznie w labirynt gór zapędziły.

I teraz wieść o przejeździe króla z wojskiem uczyniła już swoje, wszyscy bowiem jak jeden mąż zerwali się, by go bronić i towarzyszyć mu ze swemi „ciupagami“ [x], choćby na kraj świata. Mógł Jan Kazimierz, gdyby tylko odkrył, kto jest, otoczyć się w jednej chwili tysiącami półdzikich „gazdów“ [2], lecz on słusznie mniemał, że w takim razie wieść rozebrzmiałaby wnet, razem z wichrami, po całej okolicy, i że Szwedzi mogliby także wysłać znaczne wojska na jego spotkanie, więc wołał ciągnąć nie poznany, nawet od górali.

Znajdowano jednak wszędy pewnych przewodników, którym dość było powiedzieć, że prowadzą biskupów i panów, pragnących się szwedzkiej ręki uchronić. Prowadzili ich więc wśród śniegów, skał, wirchów [3] i przełęczy, sobie tylko znanemi ‚^pyrciami“ [4], przez miej-

---

[1] toporkami góralskiemi. [2] gospodarzy. [3] szczytów. [4] ścieżkami górskiemi.

sca tak niedostępne, że — rzekłbyś — i ptak nie mógłby przez nie przelecieć.

Nieraz król i dostojnicy mieli chmury pod nogami, a jeżeli chmur nie było, to wzrok ich leciał w bezbrzeżną, białemi śniegami okrytą przestrzeń, która tak wydawała się szeroką, jak kraj cały szeroki; nieraz zapuszczali się w gardziele górskie, ciemne prawie, śniegami przysłonięte, w których chyba tylko zwierz dziki mógł mieć legowiska. Lecz omijano dostępne dla nieprzyjaciela miejsca, skracano drogę, i bywało, że osada jaka, do której ledwie za pół dnia spodziewano się dostać, pojawiała się nagle pod nogami, a w niej spoczynek czekał i gościnność, choć w kurnej chacie, w zadymionej świetlicy.

Król był ciągle wesół, innym odwagi do znoszenia nadzwyczajnych trudów dodawał i uręczał [x], że takiemi drogami się przebierając, pewno równie szczęśliwie, jak niespodzianie, do Lubowli się dostaną.

— Pan marszałek ani się spodziewa, kiedy mu na kark spadniem! — powtarzał ciągle.

A nuncjusz odpowiadał:

— Czemże był powrót Ksenofonta w porównaniu z tą naszą podróżą w chmurach?

— Im wyżej się wzniesiem, tern szwedzka fortuna upadnie niżej — twierdził król.

Tymczasem dojechano do Nowego Targu.

---

[1] zaręczał.

Zdawało się, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło; jednakże górale twierdzili, że jakieś obce wojska kręcą się wedle Czorsztyna i po okolicy. Król przypuszczał, iż może to być niemiecka rajtarja pana marszałka koronnego, której miał dwa pułki, albo że jego własnych dragonów, wysłanych przodem, poczytano za nieprzyjacielskie podjazdy. Więc gdy i w Czorsztynie była załoga biskupa krakowskiego , podzieliły się zdania w królewskim orszaku: jedni chcieli jechać traktem do Czorsztyna, a stamtąd ciągnąć samą granicą do ziemi spiskiej; inni radzili zaraz wykręcić do Węgier, które tu klinem aż pod NowyTarg dochodziły, i znowu przedzierać się przez wirchy i wąwozy, biorąc wszędy przewodników, najniebezpieczniejsze przejścia znających.

To ostatnie zdanie przemogło, albowiem w ten sposób spotkanie się ze Szwedami stawało się prawie niepodobnem, i zresztą króla bawiła ta „orłowa“ droga przez przepaści i przez chmury.

Wyruszono więc z Nowego Targu nieco na zachód i południe, zostawiając po prawej ręce Biały Dunajec. Początkowa droga szła okolicą dosyć otwartą i rozległą, lecz w miarę jak postępowano naprzód, góry poczęły się zbiegać, doliny zacieśniać. Jechano drogami, po których konie ledwie mogły postępować. Czasem trzeba było zsiadać i w ręku je prowadzić,

a i to nieraz jeszcze opierały się, tuląc uszy i wyciągając otwarte, dymiące nozdrza ku przepaściom, z których głębi śmierć zdawała się wyglądać.

Górale, przywykli do urwisk, uznawali często za dobre takie drogi, na których nieobyłyin ludziom szumiało i kręciło się w głowach. Wjechali nakoniec w jakąś szczelinę skalną długą i prostą, a tak wąską, że zaledwie trzech ludzi mogło jechać wedle siebie.

Wąwóz to był jakoby korytarz niezmierny. Dwie wysokie skały zamykały go z prawej i lewej strony. Gdzieniegdzie jednak krawędzie ich rozchylały się, tworząc mniej strome pochyłości, pokryte zaspami śniegu, na zrębach obramowane czarnym borem. Wichry wywiały natomiast śnieg z dna wąwozu i kopyta końskie szczękały wszędy po kamienistym podkładzie. Lecz w tej chwili wiatr nie wiał i cisza panowała tak głucha, że aż w uszach dzwoniąca. Tylko w górze, kędy między lesistemi krawędziami widniał błękitny pas nieba, przelatywało od czasu do czasu czarne ptactwo, łopocąc skrzydłami i kracząc.

Orszak królewski stanął dla wypoczynku. Z koni podnosiły się kłęby pary, a i ludzie byli pomęczeni.

— Czy to Polska, czy Węgry? — spytał po chwili przewodnika król.

— To jeszcze Polska.

— A czemu nie wykręciliśmy zaraz do Węgier?-

— Bo nie można. On wąwóz zakręci się opodal, potem będzie siklawa i, za siklawą pyrć do traktu idzie. Tam nawrócimy, przejdziem jeszcze jeden wąwóz, i dopiero będzie węgierska strona.

— To widzę, że lepiej było odrazu traktem jechać — rzekł król.

— Cichajcie!... — odpowiedział nagle góral.

I przyskoczywszy do skały, przyłożył do niej ucho.

Wszyscy utkwili w niego oczy, a jemu twarz zmieniła się w jednej chwili i rzekł:

— Za zakrętem wojsko idzie od potoku!... Dla Boga! czy nie Szwedy?!

—- Gdzie? jak? co?... — poczęto pytać ze wszystkich stron. — Nic nie słychać!...

— Bo tam śnieg leży. Na rany Boskie! Już są blisko!... Zaraz się ukażą!...

— Może pana marszałka ludzie? — rzekł król.

Kmicic w tej chwili ruszył koniem.

—■ Pojadę zobaczyć! —- rzekł.

Kiemlicze ruszyli zaraz za nim, jak psy myśliwe za łowcem, lecz ledwie posunęli się z miejsca, gdy zakręt gardzieli, o sto kroków przed nimi leżący, zaciemnił się od ludzi i koni.

---

[1] wodospad.

Kmicic spojrzał... i dusza zatrzęsła się w nim z przerażenia.

Byli to Szwedzi.

Ukazali się tak blisko, że cofać się było niepodobna, zwłaszcza iż orszak królewski miał konie pomęczone. Pozostawało tylko przebić się lub zginąć, albo pójść w niewolę. Zrozumiał to w jednej chwili nieustraszony król, więc chwycił za rękojeść szpady!

— Osłonić króla i nazad! — krzyknął Kmicic.

Tyzenhauz z dwudziestu ludźmi w mgnieniu oka wysunął się na czoło, lecz Kmicic, zamiast złączyć się z nimi, ruszył drobnym kłusem przeciw Szwedom.

Miał zaś na sobie szwedzki strój, ten sam, w którem przebrał się, wychodząc z klasztoru, więc owi Szwedzi teraz nie pomiarkowali, co to za jeden. Widząc dążącego przeciw sobie w takim stroju jeźdźca, prawdopodobnie poczytali cały orszak królewski za jakiś własny podjazd, bo nie przyśpieszyli kroku, tylko kapitan dowodzący wysunął się przed pierwszą trójkę.

— A co za ludzie? — spytał po szwedzku, patrząc na groźną i bladą twarz zbliżającego się junaka.

Kmicic najechał nań tak blisko, że prawie trącili się kolanami, i nie odrzekłszy ni słowa, wypalił mu w samo ucho z pistoletu.

Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi rajtarów,

ale potężniej jeszcze zabrzmiał głos pana Andrzeja:

- Bij!

I jako skała oderwana od opoki, tocząc się w przepaść, druzgoce wszystko w biegu, tak i on runął na pierwszy szereg, niosąc śmierć i zniszczenie. Dwaj młodzi Kiemlicze, podobni do dwóch niedźwiedzi, skoczyli za nim w zamęt. Stukot szabel o pancerze i hełmy rozległ się, jak hdk młotów, a wnet zawtórowały mu wrzaski i jęk.

Przerażonym Szwedom zdawało się w pierwszej chwili, że to trzech wielkoludów napadło ich w dzikim parowie górskim. Pierwsze trójki cofnęły się zmieszane przed strasznym mężem, a gdy ostatnie wydobywały się dopiero z poza zakrętu, środek stłoczył się i zwichrzył. Konie poczęły gryźć się i wierzgać. Żołnierze z dalszych trójek nie mogli strzelać, nie mogli iść na ratunek przodowym, którzy ginęli bez ratunku pod ciosami trzech olbrzymów. Próżno się złożą, próżno sztychów nadstawią, tamci łamią szable, przewracają ludzi i konie. Kmicic zdarł konia, aż kopyta jego zwisły nad głowami rajtarskich rumaków, sam zaś szalał, siekł, bódł. Krew zbroczyła mu twarz, z oczu szedł ogień, wszystkie myśli w nim zgasły, została tylko jedna: że zginie, lecz Szwedów musi zatrzymać. Ta myśl przerodziła się w dzikie jakieś uniesienie, więc siły jego potroiły się, ruchy stały siię

podobne do ruchów rysia: wściekłe, jak błyskawica szybkie. I nadludzkiemi ciosami szabli kruszył ludzi, jak piorun kruszy młode drzewa; dwaj Kiemlicze młodzi szli tuż, a stary, stojąc nieco ztyłu, co chwila wsuwał rapier między synów, tak szybko, jak wąż żądło wysuwa, i wyciągał krwawy.

Tymczasem koło króla powstał rozruch. Nuncjusz, jako pod Żywcem, tak i teraz trzymał za cugle jego konia, z drugiej strony chwycił je biskup krakowski, i ze wszystkich sił cofali wtył rumaka, król zaś parł go ostrogami, aż dzianet dęba stawał.

— Puszczajcie!... — wołał król. — Na Boga! Przejedziem przez nieprzyjaciół!

— Panie, myśl o ojczyźnie! —wołał biskup krakowski.

I król nie mógł wydrzeć się z ich rąk, zwłaszcza że od przodu zatarasował mu drogę młody Tyzenliauz ze wszystkimi ludźmi. Nie szedł on w pomoc Kmicicowi, poświęcił go, pragnął tylko króla ratować.

— Na mękę Pana naszego! — krzyknął z rozpaczą — tamci zaraz polegną!... Miłościwy panie, ratuj się, póki czas! Ja ich tu jeszcze zatrzymam!

Lecz upór królewski, gdy go raz rozdrażniono, nie liczył się z niczem i z nikim. Jan Kazimierz wsparł jeszcze silniej rumaka ostrogami, i zamiast cofać się, posuwał się naprzód.

A czas płynął i każda chwila dłużej mogła zgubę za sobą pociągnąć.

— Zginę na mojej ziemi!... Puszczajcie! — wołał król.

Szczęściem, przeciw Kmicicowi i Kiemliczom, dla ciasnoty miejsca, mała tylko liczba mogła odrazu działać, skutkiem czego mogli się trzymać dłużej. Lecz zwolna i ich siły poczęły się wyczerpywać. Kilkakroć rapiery szwedzkie dotknęły się ciała Kmicica i krew jęła z niego uchodzić. Oczy przesłaniały mu się jakby mgłą. Dech ustawał w piersiach. Uczuł zbliżanie się śmierci, więc pragnął tylko życie sprzedać drogo. „Jeszcze choć jednego!“ — powtarzał sobie, i puszczał płytkie żelazo na głowę lub ramię najbliższego rajtara, i znów zwracał się ku innemu; Szwedom wszelako, po pierwszej chwili zamieszania i strachu, wstyd widocznie uczyniło się, że czterech mężów zdołało ich zatrzymać tak długo, i natarli z furją; wnet samym ciężarem ludzi i koni zepchnęli ich wtył, i spychali coraz silniej i szybciej.

Wtem koń Kmicica padł i fala zakryła jeźdźca.

Kiemlicze rzucali się jeszcze czas jakiś, podobni do pływaków, którzy widząc, że toną, usiłują jak najdłużej głowy nad powierzchnią roztoczy morskiej utrzymać, lecz wkrótce zapadli i oni...

Wówczas Szwedzi jak wicher ruszyli ku orszakowi królewskiemu.

Tyzenhauz zaś ze swymi ludźmi skoczył ku nim, i uderzyli się tak, że aż łoskot rozległ się po górach.

Lecz cóż znaczyła ta nowa tyzenhauzowska garstka przeciw potężnemu podjazdowi, blisko trzysta koni liczącemu!

Nie było już wątpliwości, że dla króla i jego orszaku musi nieubłaganie wybić fatalna godzina zguby lub niewoli.

Jan Kazimierz, woląc widocznie pierwszą od drugiej, wyswobodził nakoniec lejce z rąk trzymających je biskupów i posunął się szybko za Tyzenhauzem.

Nagle stanął jak wryty.

Stało się coś nadzwyczajnego. Patrzącym wydało się, że same góry przychodzą w pomoc prawemu królowi i panu.

Oto nagle krawędzie wąwozu zadrgały, jakgdyby ziemia wzruszyła się z posad, jakgdyby bór rosnący w górze chciał wziąć udział w walce, i pnie drzewne, bryły śniegu, lodu, kamienie i okruchy skał jęły toczyć się ze straszliwym trzaskiem i łoskotem na zaciśnięte na dnie szeregi szwedzkie; jednocześnie nieludzkie wycie rozległo się po obu stronach parowu.

Na dole zaś, w szeregach, wszczął się zamęt, ludzką wyobraźnię przechodzący. Szwedom zdało się, że góry runęły i zsypują się

na nich. Powstały krzyki, lament druzgotanycli mężów, rozpaczliwe wołania o pomoc, kwik koński, zgrzyt i straszliwy dźwięk skalnych obłamów [1] o pancerze.

Nakoniec ludzie i konie utworzyli jedńą kupę kłębiącą się konwulsyjnie, gniotącą, pełną jęków, rozpaczliwą, straszną.

A kamienie i złamy skał miażdżyły ją ciągle, tocząc się nieubłaganie na bezkształtne już masy ciał końskich i ludzkich.

— Górale! górale! — zaczęto krzyczeć w orszaku królewskim.

— Ciupagami psubratów! — ozwały się głosy na górze.

I w tej chwili po obu krawędziach skalistych ukazały się długowłose głowy, przybrane w krągłe skórzane kapelusze, za niemi wychyliły się ciała, i kilkaset dziwnych postaci poczęło spuszczać się wdół po pochyłościach śnieżnych.

Ciemne i białe gunie, unoszące się nad ramionami, nadawały im pozór jakichś strasznych ptaków drapieżnych. Zsunęli się w mgnieniu oka; świst siekierek zawtórował złowrogo ich dzikim okrzykom i jękom dobijanych Szwedów. Sam król chciał rzeź powstrzymać; niektórzy rajtarowie, żywi jeszcze, rzucali się na kolana i, wznosząc bezbronne ręce, błagali o ratunek. Nic nie pomogło, nic

[1] odłamów.

nie wstrzymało mściwych siekier, i w kwadrans później nie było już ani jednego żywego Szweda w parowie.

Potem krwawi górale poczęli się sypać ku orszakowi królewskiemu.

Nuncjusz ze zdumieniem patrzył na tych nieznanych sobie ludzi, rosłych, silnych, pokrytych częścią w skóry owcze, ubroczonych krwią i potrząsających dymiącemi jeszcze siekierkami.

Lecz oni na widok biskupów poodkrywali głowy. Wielu poklękało w śniegu.

Biskup krakowski podniósł załzawioną twarz ku niebu.

—• Oto pomoc Boska, oto Opatrzność, która czuwa nad majestatem!

Następnie zwrócił się do górali i rzekł:

— Ludzie, coście za jedni?

—• Tutejsi! — odpowiedziano z tłumu.

— Czy wiecie, komuście przyszli w pomoc?... Oto król i pan wasz, któregoście uratowali !

Na te słowa krzyk uczynił się w tłumie: „Król! król! Jezusie, Mar jo, król!“ — Wierni górale poczęli się cisnąć do pana i tłoczyć. Z płaczem opadli go zewsząd, z płaczem całowali jego nogi, strzemiona, nawet kopyta jego konia. Zapanowało takie uniesienie, taki krzyk i szlochanie, że aż biskupi z obawy o osobę królewską musieli zbytni zapał hamować.

Król zaś stał wśród wiernego ludu, jak pasterz wśród owiec, i łzy wielkie, jasne jak perły, spływały mu po twarzy.

Poczem oblicze jego rozjaśniło się, jakby jakaś przemiana spełniła się nagle w jego duszy, jakby nowa wielka myśl, z nieba rodem, zaświeciła mu w głowie, i skinął ręką, że chce mówić a gdy uciszyło się, rzekł podniesionym głosem, tak, iż słyszał go tłum cały:

— Boże, któryś mnie przez ręce prostego ludu wybawił, przysięgam Ci na mękę i śmierć Syna Twego, że i jemu ojcem odtąd będę!

— Amen — powtórzyli biskupi.

I czas jakiś trwało uroczyste milczenie, potem zaś nowa radość wybuchła. Poczęto wypytywać górali, skąd się wzięli w wąwozach i jakim sposobem tak w porę dla ratunku królowi się znaleźli?

Okazało się, że znaczne podjazdy szwedzkie kręciły się koło Czorsztyna, i nie dobywając samego zamku, zdawały się szukać kogoś i czekać. Górale słyszeli także o bitwie, którą podjazdy te stoczyły z jakiemś wojskiem, między którem miał się i sam król znajdować. Wówczas to postanowili wciągnąć Szwedów w zasadzki, i nasławszy im fałszywych przewodników, umyślnie zwabili ich do tego parowu.

— Widzieliśmy, —- mówili górale, — jako onych czterech rycerzy uderzyło na tych psiajuchów, chcieliśmy im iść w pomoc,

ale baliśmy się spłoszyć za wcześnie psubratów.

Tu król porwał się za głowę.

— Matko jedynego Syna! — krzyknął; — szukać mi Babinicza! Niechaj mu choć pogrzeb wyprawimy!... I tego to człowieka za zdrajcę poczytano, który pierwszy krew za nas wylał!

— Zawiniłem, miłościwy panie! — ozwał się Tyzenhauz.

— Szukać go, szukać! — wołał król. — Nie odjadę stąd, póki mu w twarz nie spojrzę i nie pożegnam.

Skoczyli więc żołnierze wraz z góralami na miejsce pierwszej walki i wkrótce z pod stosu trupów końskich i ludzkich wydobyli pana Andrzeja. Twarz jego była blada, cała zabryzgana krwią, której grube sople zakrzepły mu na wąsach; oczy miał przymknięte; pancerz powyginany od razów mieczów i kopyt końskich. Ale ten pancerz właśnie uchronił go od zmiażdżenia, i żołnierzowi, który go podniósł, wydawało się, że usłyszał cichy jęk:

— Dla Boga! Żyw! — zakrzyknął.

— Zdjąć mu pancerz! — wołali inni.

Wnet przecięto rzemienie.

Kmicic odetchnął głębiej.

— Dycha! dycha! Żyw! — powtórzyło kilka głosów.

On zaś leżał czas jakiś nieruchomie, poczerń otworzył oczy. Wówczas jeden z żołnie-

rzy wlał mu do ust nieco gorzałki, inni zaś podnieśli go pod ramiona.

W tej cliwili nadjechał pędem sam król, do którego uszu doszedł okrzyk, powtarzany przez wszystkie usta.

Żołnierze przywlekli przed niego pana Andrzeja, który ciężył im ku ziemi i leciał przez ręce. Jednakże na widok króla przytomność wróciła mu na chwilę, uśmiech prawie dziecinny przebłysnął mu na twarzy, a blade jego wargi wyszeptały wyraźnie:

— Mój pan, mój król żywię... wolny...

I łzy błysły mu w źrenicach.

— Babinicz, Babinicz! Czem cię nagrodzę? ! — wołał król.

— Jani nie Ba-bi-nicz, jam Kmi-cic! — szepnął rycerz.

To rzekłszy, zwisł jak martwy na rękach żołnierzy.

## ROZDZIAŁ VI.

Ponieważ górale zapewnili, że na drodze do Czorsztyna o żadnych innych oddziałach szwedzkich nie słychać, orszak królewski wykręcił więc ku temu zamkowi i wkrótce znalazł się na trakcie, po którym podróż była łatwiejsza i mniej nużąca. Jechali wśród pieśni góralskich i okrzyków: „Król jedzie! Król jedzie!“ — a po drodze łączyły się z nimi coraz nowe kupy ludu, zbrojnego w cepy,

kosy, widły i strzelby, tak, że Jan Kazimierz stanął wkrótce na czele znacznego oddziału ludzi, niewyćwiczonych wprawdzie, ale gotowych w każdej chwili iść z nim choćby na Kraków i krew przelać za swego pana. Pod Czorsztynem przeszło już tysiąc „gazdów“ i półdzikich juhasów otaczało króla.

Aż też zaczęła napływać i szlachta z pod Nowego i Starego Sącza. Ci donieśli, że tegoż ranka pułk polski pod wodzą Wojniłłowicza zbił przy samem mieście Nowym Sączu znaczny podjazd szwedzki, z którego wszyscy niemal ludzie zginęli lub potopili się w Kamiennej i w Dunajcu.

Jakoż okazało się to prawdą, gdyż wkrótce na trakcie zamigotały proporczyki, zaczem sam Wojniłłowicz z pułkiem wojewody bracławskiego nadjechał.

Radośnie król powitał znakomitego, a zdawna sobie znajomego rycerza, i wśród ogólnego zapału ludu i wojska jechał .z nim dalej na Spisz. Tymczasem skoczyli co tchu w koniach jezdni dać naprzód znać panu marszałkowi, że król się zbliża, aby był gotów na przyjęcie.

Wesoło i gwarno szła dalsza podróż. Napływały coraz nowe tłumy. Nuncjusz, który z obawą o własne i królewskie losy ze Śląska wyjechał, którą obawę początek podróży jeszcze powiększył, nie posiadał się teraz z radości, bo już był pewien, że przyszłość niezawodnie zwycięstwo królowi, a z nim i Kościo-

łowi nad heretykami przyniesie. Biskupi podzielali jego radość, dygnitarze świeccy twierdzili, że cały naród od Karpat do Bałtyku, tak samo jak owe tłumy, za broń chwyci. Wojniłłowicz zaś zapewniał, że po większej części już się to stało.

I opowiadał, co w kraju słychać, jaki postrach padł na Szwedów, jak już nie śmią się w mniejszej liczbie z murów wychylać, jak nawet mniejsze zameczki opuszczają i palą, do potężniejszych chroniąc się fortec.

— Wojsko jedną ręką w piersi się bije, a drugą Szwedów bić zaczyna — mówił. ■—■ Wilczkowski, który nad husarskim pułkiem waszej królewskiej mości porucznikuje, podziękował już Szwedom za służbę, a to w ten sposób, że ich pod Zakrzewem, w komendzie pułkownika Attenberga będących, napadł i siła naciął, ledwie nie wszystkich zniósł... Ja z pomocą Bożą z Nowego Sącza ich wyparłem i Bóg dał znaczną wiktorję, bo nie wiem, czy jeden żywy wyszedł... Pan Felicjan Kochowski z piechotą nawojowską mocno mi dopomógł, i tak się im przynajmniej za owych dragonów, dwa dni temu poszarpanych, odpłaciło.

— Za jakich dragonów? — spytał król.

— A za tych, których wasza królewska mość ze Śląska przed sobą wysłał. Szwedzi znienacka ich napadli, i chociaż rozproszyć nie zdołali, bo się okrutnie bronili, przecie szkodę uczynili w nich znaczną... A myśmy

mało nie pomarli z desperacji, bośmy myśleli, że się wasza królewska mość osobą własną między tymi ludźmi znajduje, i baliśmy się, żeby jakowa zła przygoda majestatu nie spotkała. Bóg to natchnął waszą królewską mość do wysłania przodem dragonji. Zaraz się o niej Szwedzi zwiedzieli i wszędy drogi pozajmowali.

— Słyszysz, Tyzenhauz? — pytał król. — Żołnierz to doświadczony mówi.

— Słyszę, miłościwy panie, — odparł młody magnat.

Król zwrócił się do Wojniłłowicza.

— A co więcej? Co więcej? Powiadaj!

— Co wiem, pewnie tego nie ukryję. W Wielkopolsce Żegocki i Kulesza dokazują. Pan Warszycki Lindorma z zaniku pileckiego wysadził, Danków się obronił, Lanckorona w naszych ręku, a na Podlasiu pan Sapieha pod Tykocinem codzień w siłę rośnie. Gorzeją już Szwedzi w zamku, a z nimi razem zgorzeje i książę wojewoda wileński. Co do hetmanów, ci się już z pod Sandomierza w Lubelskie ruszyli, jawnie tam okazując, że z nieprzyjacielem zrywają. Jest tam z nimi i wojewoda czernihowski, a z okolicy ciągnie ku nim kto żyw i kto szablę w garści utrzymać może. Powiadają, że się tam ma jakiś związek przeciwko Szwedom formować, w czem i pana Sapiehy jest ręka i pana kasztelana kijowskiego.

— To kasztelan kijowski także teraz w Lubelskiem ?

— Tak jest, wasza królewska mość! Ale on dziś tu, jutro tam... Mam i ja do niego ciągnąć, ale gdzie go szukać, tego nie wiem.

— Głośno o nim będzie, — rzekł król, — nie będziesz potrzebował o drogę pytać.

— Tak i ja myślę, miłościwy panie — odrzekł Wojniłłowicz.

Na podobnych rozmowach schodziła droga. Tymczasem niebo wypogodziło się zupełnie, tak, że błękitu nie plamiła żadna chmurka; śniegi lśniły się w promieniach słońca. Góry spiskie roztaczały się wspaniale i wesoło przed jadącymi i sama natura zdawała się do pana uśmiechać.

—• Miła ojczyzno! — rzekł król — bodajem ci mógł spokój' przywrócić, nim kości moje w tej ziemi spoczną!

Wjechali na wysokie wzgórze, z którego widok otwarty był i daleki, bo z drugiej strony obszerna stała u stóp jego nizina. Tam ujrzeli wdole i w wielkiem oddaleniu poruszające się jakieś mrowisko ludzkie.

— Wojska pana marszałka idą! — zawołał Wojniłłowicz.

— Jeżeli nie Szwedzi? — rzekł król.

— Nie, miłościwy panie! Szwedzi nie mogliby od Węgier z południa ciągnąć. Widzę już husarskie proporczyki.

Jakoż po chwili, z sinawej oddali wysunął się las włóczni, barwne proporce chwiały się jakby kwiaty wiatrem poruszane; powyżej groty lśniły się nakształt płomyków. Słońce grało na pancerzach i hełmach.

Tłumy towarzyszące królowi wydały okrzyk radosny; dosłyszano go zdała, bo masa koni, jeźdźców, chorągwi, buńczuków, proporczyków, poczęła poruszać się szybciej, — widocznie tam ruszono z kopyta, bo pułki stawały się coraz wyraźniejsze i rosły w oczach z niepojętą szybkością.

— Ostańmy tu, na tern wzgórzu! Tu pana marszałka czekać będziem — rzeki król.

Orszak zatrzymał się; jadący naprzeciw pędzili jeszcze szybciej.

Chwilami zakrywały ich przed oczyma skręty drogi lub maluśkie pagórki i skały, rozsiane po nizinie, lecz wnet znowu ukazywali się oczom, jako wąż o skórze grającej barwami, przepysznej. Nakoniec dotarli o ćwierć stai od wzgórza i zwolnili pędu. Oko mogło ich już doskonale objąć i nacieszyć się nimi. Szła więc naprzód chorągiew husarska, pana marszałka własna, bardzo okryta i tak wspaniała, że każdy król mógłby się podobnem wojskiem poszczycić. Służyła w tej chorągwi sama szlachta górska: ludzie dobrani, chłop w chłopa, pancerze na nich z jasnej blachy, mosiądzem nabijane, ryngrafy z Najświętszą Panną Częstochowską, hełmy krągłe z że-

laznemi nausznikami, grzebieniaste na wierzchu, u ramion skrzydła sępie i orle, na- plecach skóry tygrysie i lamparcie, u starszyzny wilcze, wedle obyczaju.

Las z zielonych z czarnem proporczyków chwiał się nad nimi; przodem jechał porucznik Wiktor, za nim kapela janczarska z dzwonkami, litaurami, kotłami i piszczałkami, dalej ściana piersi końskich i ludzkich w żelazo zakutych.

Rozpływało się na ten widok wspaniały serce królewskie. Wraz za husarją następował znak lekki, jeszcze liczniejszy, zi ¡gołemi szablami w ręku i łukami na plecach; potem trzy sotnie semenów, barwnych jak mak kwitnący, zbrojnych w spisy i samopały; potem dwieście dragonji w czerwonych koletach; potem poczty panów różnych, już w Lubowli bawiących, czeladź strojna jak na wesele, trabanci, hajducy, pajucy, Węgrzynkowie i janczarowie, do służby przy osobach pańskich przeznaczeni.

A mieniło się to jak tęcza, a nadjeżdżało gwarnie i szumno, wśród rżenia koni, chrzęstu zbroi, huku kotłów, warczenia bębnów, dźwiękania litaurów i krzyków tak gromkich, iż zdawało się, że śnieg od nich z gór opadnie. Wkońcu za wojskami widać było karety i kolasy, w których widocznie jechali świeccy i duchowni dygnitarze.

Następnie wojska ustawiły się w dwa sze-

regi wzdłuż drogi, a zaś w środku ukazał się na białym jak mleko koniu sam pan marszałek koronny, Jerzy Lubomirski. Leciał on jak wicher ową ulicą, a za nim dwóch masztalerzy, kapiących od złota. Dojechawszy do wzgórza, zeskoczył z konia, i rzuciwszy lejce jednemu z masztalerzów, sam szedł piechotą na wzgórze, ku stojącemu tam królowi.

Czapkę zdjął, i zasadziwszy ją na rękojeść szabli, szedł z gołą głową, podpierając się obuszkiem, całym perłami krytym. Ubrany był po polsku, w stroju wojennym; na piersiach miał pancerz ze złotej blachy, gęsto po brzegach kamieniami wysadzany, a polerowany [1] tak, iż zdawało się, że słońce na piersiach niesie; przez lewe ramię zwieszała mu się delja barwy ciemnej, przechodzącej w fiolet purpury, z weneckiego aksamitu. Trzymał ją pod szyją sznur zaczepiony o agrafy brylantowe, któremi cała delja była naszyta; również brylantowe trzęsienie chwiało mu się u czapki, a one klejnoty migotały jako skry różnokolorowe naokół całej jego postaci, i oczy ćmił, takie od niego biły blaski.

Był to mąż w sile wieku, postawy wspaniałej. Głowę miał podgoloną, czuprynę dość rzadką, siwiejącą, w kośmy [2] na czole ułożoną, wąs czarny jak skrzydło kruka, w cienkich końcach po obu stronach ust opadający. Wy-

---

[1] wygładzony. [2] kosmyki.

niosłe czoło i rzymski nos dodawały piękności jego obliczu, lecz szpeciły je cokolwiek zbyt wypukłe policzki i oczy małe, czerwoną obwódką okolone. Wielka powaga, ale przytem niesłychana pycha i próżność malowały się w tej twarzy. Zgadłeś łatwo, że ów magnat chciał wiecznie zwracać na się oczy całego kraju, ba! całej Europy. Jakoż tak i było w istocie.

Gdzie tylko Jerzy Lubomirski nie zdołał zająć najwybitniejszego miejsca, gdzie mógł tylko dzielić się z innymi sławą i zasługą, tam rozdrażniona jego duma gotowa była położyć się wpoprzek i popsuć, złamać wszelkie zabiegi, choćby o zbawienie ojczyzny chodziło.

Był to wódz szczęśliwy i biegły, ale i pod tym względem przewyższali go inni niezmiernie, a wogóle zdolności jego, lubo niepospolite, nie szły w parze z ambicją i chęcią znaczenia. Stąd wieczny niepokój wrzał w jego duszy, stąd wyrodziła się podejrzliwość, zazdrość, które później doprowadziły go do tego, że dla Rzeczypospolitej stał się nawet od strasznego Janusza Radziwiłła zgubniejszym. Czarny duch, który mieszkał w Januszu, był zarazem i wielki, nie cofał się przed nikim i przed niczem; J anusz pragnął korony i świadomie szedł do niej przez groby i ruinę ojczyzny. Lubomirski byłby ją przyjął, gdyby ręce szlacheckie włożyły mu ją na głowę, ale mniejszą duszę mając, jasno i wyraźnie jej

pożądać nie śmiał. Radziwiłł był jednym z takich mężów, których niepowodzenie do rzędu zbrodniarzy strąca, powodzenie do rzędu półbogów wynosi; Lubomirski był to wielki warchoł, który prace dla zbawienia ojczyzny, w imię swej podrażnionej pychy popsuć był zawsze gotów, nic wzamian zbudować, nawet siebie wynieść nie śmiał, nie umiał; Radziwiłł zmarł winniejszym, Lubomirski szkodliwszym.

Lecz wówczas, gdy w zlocie, aksamitach i klejnotach szedł przeciw królowi, duma jego nasyconą była dostatecznie. On to przecie pierwszy z magnatów przyjmował swego króla na swojej ziemi; on go pierwszy brał niejako w opiekę, on go na tron zburzony miał prowadzić, on nieprzyjaciela wyźenąć, od niego król i kraj wszystkiego oczekiwali, na niego wszystkie oczy były, zwrócone. Więc ¡gjdy zgadzało się z jego miłością własną, a nawet pochlebiało jej, wierność i służby okazywać, gotów był istotnie na ofiary i poświęcenia, gotów był nawet miarę w objawach czci i wierności przebrać. Jakoż doszedłszy do wpół wzgórza, na którem stał król, zerwał czapkę z rękojeści i począł, kłaniając się, śnieg jej brylantowem trzęsieniem zamiatać.

Król ruszył koniem nieco ku dołowi, następnie zatrzymał go, aby zsiąść dla powitania. Widląc to pan marszałek, skoczył, strzemienia swerni dostojnemi rękoma potrzymać, i w tej

chwili szarpnąwszy za delję, zerwał ją ia pleców i, za przykładem angielskiego dworaka, rzucił pod nogi królewskie.

Rozrzewniony król otworzył mu ramiona i chwycił go jak brata w objęcia.

Przez chwilę nic obaj nie mogli przemówić, lecz na ten wspaniały widok zawrzało jednym głosem wojsko, szlachta, lud, i tysiące czapek wyleciało w powietrze, huknęły wszystkie muszkiety, samopały i piszczele, działa z Lubowli ozwały się dalekim basem, aż zatrzęsły się góry, zbudziły wszystkie echa i poczęły biegać wokół, obijać się o ciemne ściany borów, o skały i urwiska, i lecieć z wieścią do dalszych gór, dalszych skał...

— Panie marszałku, — rzekł król, — tobie restaurację[1] królestwa będziem zawdzięczać!

— Miłościwy panie! — odpowiedział Lubomirski — fortunę moją, życie, krew, wszystko składam u nóg waszej królewskiej mości!

— Vivat! Vivat Joannes Casimirus rex!... — grzmiały okrzyki.

— Niech żyje król, ojciec nasz! — wołali górale.

Tymczasem panowie, jadący z królem, otoczyli marszałka, lecz on nie odstępował osoby pańskiej. Po pierwszych powitaniach król znowu siadł na koń, a pan marszałek, nie chcąc znać granic w gościnności i czci dla ma-

---

[1] tu: odzyskanie.

jestatu, chwycił za lejce i — sam idąc pieszo — prowadził króla wśród szeregu wojsk i głuszących okrzyków, aż do pozłocistej, zaprzężonej w ośm tarantów [1] karety, do której majestat pański siadł wraz z nuncjuszem papieskim Widonem.

Biskupi i dygnitarze pomieścili się w następnych, poczem ruszono zwolna ku Lubowli. Pan marszałek jechał przy oknie królewskiej karety, pyszny i rad z siebie, jakby go już ojcem ojczyzny okrzyknięto.

Po dwóch bokach szły gęsto wojska, śpiewając pieśń, brzmiącą w następnych słowach:

Siecz-że Szwedów, siecz,
Wyostrzywszy miecz.

Bij-że Szwedów, bij,
Wziąwszy tęgi kij.

Wal-że Szwedów, wal,
Wbijaj ich na pal.

Męcz-że Szwedów, męcz,
I jak możesz, dręcz.

Łup-że Szwedów, łup,
I ze skóry złup.

Tnij-że Szwedów, tnij,
To ich będzie mniej.

Top-że Szwedów, top,
Jeśliś dobry chłop *.

---

* Pieśń tę, p. t. „Przyduinek[2] panom Francuzom“, śpiewano pod Mątwami. (Przyp. autora).

[1] koni nakrapianych. [2] przygrywka.

Niestety, wśród powszechnej radości i uniesienia, nie przewidywał nikt, że później, tę samą pieśń, zmieniwszy Szwedów na Francuzów, będą śpiewały też same wojska Lubomirskiego, zbuntowane przeciw swemu prawowitemu królowi i panu.

Ale teraz było jeszcze do tego daleko. W Lubowli huczały działa na powitanie, aż wieże i blanki pokryły się dymem, dzwony biły jakby na pożar. Dziedziniec, na którym wysiadł król, krużganek i schody zamkowe wysłane były suknem czerwonem. W wazach z Włoch sprowadzonych paliły się wschodnie aromaty i. Większą część skarbów Lubomirskich, kredensów złotych i srebrnych, makat, kobierców, gobelinów misternie flamandzkiemi rękoma tkanych, statui, zegarów, sizaf klejnotami zdobnych, biur perłową macicą i bursztynem wykładanych, sprowadzono już wcześniej do Lubowli, aby je uchronić przed drapieżnością szwedzką; teraz zaś wszystko to było rozstawione, rozwieszone, ćmiło oczy i zmieniało ów zamek w jakąś czarodziejską rezydencję. I pan marszałek umyślnie roztoczył taki, sułtana godny, przepych, aby okazać królowi, że chociaż wraca jako wygnaniec, bez pieniędzy, bez wojska, nie posiadając prawie szat do zmiany, przecie jest panem potężnym, mając sług tak potężnych i równie

---

[1] tu: kadzidła.

wiernych. Zrozumiał owćj intencję król i serce wezbrało mu wdzięcznością, co chwila więc brał marszałka w ramiona, ściskał go za głowę, a dziękował. Nuncjusz, lubo przepychów zwyczajny, zdumiewał się głośno nad tern, co widział, i słyszano go, jak mówił do hrabiego Apotyngen, że dotąd nie miał pojęcia o potędze króla polskiego i że widzi, iż poprzednie klęski były tylko chwilową odmianą fortuny, która wprędce zmienić się musi.

Do uczty, która po wypoczynku nastąpiła, król zasiadł na wywyższeniu, a pan marszałek sam mu usługiwał, nie pozwalając nikomu się zastąpić. Po prawicy króla wziął miejsce nuncjusz Widon, po lewicy 'książę prymas Leszczyński, dalej po obu stronach dygnitarze duchowni i świeccy, jako ksiądz biskup krakowski, poznański, ksiądz arcybiskup lwowski, dalej łucki, przemyski, chełmiński, ksiądz archidiakon krakowski, dalej pieczętarze [1] koronni i wojewodowie, których ośmiu się zebrało, i kasztelani i referendarze [2], a z oficerów zasiadł do uczty pan Wojniłłowicz, pan Wiktor, pan Stabkowski i pan Baldwin Szurski, lekkiego znaku imienia Lubomirskich przywódca.

W drugiej sali stół był zastawiony dla szlachty pomniejszej, a obszerny cekhauz dla

---

[1] kanclerze. [2] urzędnicy, zdający sprawę z próśb, przedkładanych królowi.

ludu prostego, wszyscy bowiem mieli się w dzień przybycia pańskiego weselić.

A przy wszystkich stołach nie było o niczem innem rozmowy, tylko o powrocie króla, o strasznych przygodach, które w drodze zaszły i w których ręka Boża króla broniła. Sam Jan Kazimierz począł mówić o bitwie w wąwozie i wysławiać owego kawalera, który pierwszy impet szwedzki powstrzymał.

— A jakże mu tam? — pytał pana marszałka.

— Medyk go nie odstępuje i za żywot jego ręczy, a przytem i panny z fraucymeru wzięły go w opiekę i pewnie duszy jego wyjść z ciała nie pozwolą, bo ciało młode, gładkie! — odpowiedział wesoło marszałek.

— Chwała Bogu! — zawołał król. — Słyszałem ja z ust jego coś, czego waszmościom nie powtórzę, bo mi się samemu zdaje, żem się przesłyszał, albo że on w delirium tak mówił, ale jeśli się to pokaże, dopiero waszmościowie będziecie się zdumiewać.

— Byle nic takiego nie było, — rzekł, — coby waszą królewską mość zasępić mogło?

— Zgoła nic takiego! — rzekł król — owszem ucieszyło nas to niepomiernie, bo się okazuje, że 'ci nawet, których za największych nieprzyjaciół mieliśmy rację uważać, krew w przygodzie za nas przelać gotowi.

— Miłościwy panie! — zakrzyknął pan marszałek — czas poprawy nadszedł, ale pod

tym dachem wasza królewska mość między takimi się iznajduje, którzy nigdy nawet i myślą przeciw jej majestatowi nie zgrzeszyli.

—- Prawda, iprawda! — odpowiedział król, — a wy, panie marszałku, w pierwszym rzędzie!

— Sługaim lichy waszej królewskiej mości!

Przy stole zwolna począł powstawać gwar coraz większy. Nastąpiły rozmowy o konjunkturach politycznych, o spodziewanej dotąd napróżno pomocy cesarza niemieckiego, o posiłkach tatarskich i przyszłej wojnie ze Szwedami. Nowa nastąpiła radość, gdy pan marszałek oświadczył, iż wysłany przez niego umyślnie poseł do chana powrócił właśnie przed paroma dniami i sprawdził, że czterdzieści tysięcy ordy stoi w gotowości, a może być i sto, jak tylko król zjedzie do Lwowa i układ z chanem zawrze. Tenże sam poseł doniósł, że i Kozactwo pod grozą Tatarów nawróciło się do posłuszeństwa.

— O wszystkiem myśleliście, panie marszałku, — rzekł król, — tak, jak i my sami lepiejbyśmy nie myśleli!

Wtem porwał za kielich i zawołał:

— Zdrowie pana marszałka koronnego, naszego gospodarza i przyjaciela!

— Nie może być, miłościwy panie! — krzyknął marszałek, — niczyje tu zdrowie nie może być pierwej pite od zdrowia waszej królewskiej mości!

Wszyscy powstrzymali do pół już wzniesione puhary, zaś Lubomirski, rozradowany, spotiniały, skinął na swego własnego marszałka-kredencerza i.

Na ten znak skoczyła służba, rojąca się po sali, i poczęła rozlewać na nowo małmazję, czerpaną złoconemi konwiami ze sizczerosrebmej beczki. Ochota zaraz uczyniła się jeszcze większizia i wszyscy czekali tylko na toast pana marszałka.

Mistrz-kredencerz przyniósł tymczasem dwa puhary z weneckiego kryształu, roboty tak cudnej, że iza ósmy cud świata mogły uchodzić. Kryształ ich drążony i polerowany do cienka może przez lata całe, rzucał iście diamentowe blaski; nad oprawą pracowali mistrze włoscy. Podstawy były ze złota, rzeźbionego w drobne figurki, przedstawiające wjazd zwycięskiego wodza na Kapitol [2] . Jechał więc wódz w rydwanie [3] złocistym, po drodze moszczonej perełkami. Za nim szli jeńcy ze skrępowanemi rękoma; król jakiś w zawoju z jednego szmaragda uczynionym, dalej ciągnęli legjoniści[4] ze znakami i orłami. Przeszło pięćdziesiąt figurek mieściło się na każdej podstawie, drobniutkich, wzrostem na orzech laskowy, ale wyrobionych tak cudnie, że rysy twarzy i uczucia każdej imogłeś odgadnąć,

---

[1] urzędnika mającego nadzór nad srebrem stołowem. [2] wzgórze z zamkiem i świątynią w Rzymie.
[s] bojowym wozie dwukołowym. [4] żołnierze rzymscy.

dumę zwycięzców i pognębienie zwyciężonych. Łączyły podstawę z kielichem filigrany[1] złote, jako włosy cienkie, powyginane dziwnym kunsztem w liście winne, grona i rozmaite kwiaty. Owe filigrany wiły się naokoło kryształu, łącząc się w górze w jedno koło, rąbek puharu stanowiące, kamieniami o siedmiu kolorach sadzone.

Podał więc mistrz-kredencerz jeden taki puhar królowi, drugi panu marszałkowi, oba napełnione małmazją. Wówczas powstali wszyscy ze swych miejsc, a pan marszałek wzniósł puhar i krzyknął, ile mu głosu w piersiach starczyło :

— Vivat Joannes Casimirus rex!

— Vivat! vivat! vivat!

W tej chwili znów huknęły działa, aż ściany zamkowe się zatrzęsły. Szlachta ucztująca w drugiej sali wpadła z kielichami; chciał pan marszałek perorować, nie było sposobu, bo słowa ginęły w ustawicznym krzyku: „Vivat! vivat! vivat!“

Marszałka taka opanowała radość, takie uniesienie, że aż dzikość błysnęła mu w oczach, i wychyliwszy swój kielich, krzyknął tak, że nawet wśród powszechnego rozgardiaszu było go słychać:

—- Ego ultimus!... [2]

To rzekłszy, palnął się owym bez ceny kie-

---

[1] delikatne wzory z cienkiego drucika, [2] ja ostatni,

lichem w głowę, aż kryształ rozprysnął się w setne okruchy, które z dźwiękiem upadły na podłogę, a skronie magnata krwią się oblały.

Zdumieli się wszyscy, król zaś rzekł:

— Panie marszałku, szkoda nam nie kielicha, ale głowy... Siła nam na niej zależy!

— Za nic mi skarby i klejnoty! — zawołał marszałek, — gdy mam honor waszą kr. mość w domu moim przyjmować. Vivat Joannes Casimirus rex!

Tu kredencerz podał mu drugi kielich.

— Vivat! vivat! vivat! — brzmiało ciągle i bezustanku.

Dźwięk rozbijanego szkła mieszał się z okrzykami. Tylko biskupi nie poszli śladem marszałka, bo powaga duchowna broniła.

Lecz nuncjusiz papieski, nieświadom owego zwyczaju tłuczenia szkła o głowy, pochylił się do siedzącego obok księdza biskupa poznańskiego i rzekł:

— Dla Boga! (zdumienie mnie ogarnia... Toż w skarbie waszym pustki, a za taki jeden kielich możnaby dwa słuszne regimenty wojska wystawić i utrzymać!

— Tak u nas zawsze, — odrzekł, kiwając głową, ksiądz biskup poznański, — kiedy ochota w sercach wzbierze, to i miary w niczem niemasz.

Jakoż ochota coraz była większa. Przy końcu uczty jaskrawa łuna uderzyła w okna zamku.

— Co to jest? — spytał król.

— Miłościwy panie! Proszę na widowisko ! — rzekł marszałek.

I chwiejąc się nieco, prowadził pana do okna. Tam cudny widok uderzył ich oczy. Dziedziniec oświecony był jak w dzień. Kilkadziesiąt beczek ze smołą rzucało jasno-żółte blaski na bruk, wyprzątnięty ze śniegu i wysypany igłami świerków górskich. Gdzieniegdzie paliły się i kufy okowity, rzucające światło błękitne; do niektórych sól wsypywano, by świeciły czerwono.

Rozpoczęło się widowisko: naprzód ścinali rycerze głowy tureckie, gonili do pierścienia i ze sobą na ostre; potem psy liptowskie zażerały niedźwiedzia; potem góral jeden, rodzaj górskiego Samsona, rzucał kamieniem młyńskim i takowy w powietrzu chwytał. Północ położyła dopiero koniec tym zabawom.

Tak wystąpił pan marszałek koronny, chociaż Szwedzi byli jeszcze w kraju.

## ROZDZIAŁ VII.

Wśród uczt i wśród natłoku zjeżdżających się coraz nowych dygnitarzy, szlachty i rycerstwa, nie zapomniał jednak dobry król o swym wiernym słudze, który w wąwozie górskim tak śmiele na miecze szwedzkie pierś nadstawił, i na drugi dzień po przybyciu do

Lubowli odwiedził rannego pana Andrzeja. Zastał go przytomnym i niemal wesołym, choć bladym jak śmierć, gdyż szczęśliwym trafem młody junak żadnej ciężkiej rany nie otrzymał i tylko krwi z niego dużo uszło.

Na widok pana podniósł się nawet Kmicic na łożu i usiadł, a choć król począł nalegać, by się położył znowu, przecie nie chciał tego uczynić.

— Miłościwy panie, — rzekł, — za parę dni już i na koń siędę i z waszą królewską mością, za łaskawem pozwoleniem, dalej pojadę, gdyż sam to czuję, że mi nic nie jest.

— Musieli cię przecie okrutnie poszczerbić... Jakoż to niesłychana rzecz, ażeby jeden na tylu uderzał.

— Nieraz mi się już to trafiało, bo tak mniemam, że w złym razie szabla i rezolucja to grunt... Ej, miłościwy panie! jużby tych szczerb, które na mojej skórze przyschły, i na wołowej nie zliczyć. Takie moje szczęście!

— Na szczęście nie narzekaj, bo widać leziesz naoślep tam, gdzie nietylko szczerby, ale i śmierć rozdają. Od jakże to dawna wojenny proceder praktykujesz? Gdzieś się przedtem popisywał?

Przelotny rumieniec zabarwił bladą twarz pana Kmicica.

— Miłościwy panie! Jam to przecie Chowańskiego podchodził, gdy wszyscy już ręce opuścili, i cena za moją głowę była naznaczona.

— Słuchaj-no, — rzeki nagle król, — powiedziałeś mi dziwne słowo w owym wąwozie, alem myślał, że cię delirium chwyciło i rozum ci się pomieszał. Teraz znów mówisz, żeś to ty Chowańskiego podchodził. Ktoś ty jest? Zaliś ty naprawdę nie Babinicz? Wiadomo nam, kto Chowańskiego podchodził!

Nastała chwila milczenia; wreszcie młody rycerz podniósł wynędzniałą twarz i rzeki:

— Tak jest, miłościwy panie!... Nie delirium przeze mnie mówi, jeno prawda; jam to Chowańskiego szarpał, od której wojny imię moje w całej Rzeczypospolitej zasłynęło... Jam jest Andrzej Kmicic, chorąży orszański...

Tu pan Kmicic przymknął oczy i bladł coraz więcej, lecz gdy król milczał zdumiony, tak dalej mówić począł:

— Jam, miłościwy panie, ów banit, przez Boga i ludzkie sądy potępion za zabójstwa i swawolę, jam to Radziwiłłowi służył i wraz z nim ciebie, miłościwy panie, i ojczyznę zdradził, a teraz rapierami skłuty, końskiemi kopytami stratowan, podnieść się niemocen, biję się w piersi, powtarzam: „Mea culpa! mea culpa!“ i miłosierdzia twego ojcowskiego błagam... Przebacz mi, panie, bom sam własne dawne uczynki przeklął i z tej piekielnej drogi dawno nawrócił.

I łzy puściły się z oczu rycerza, a drżącemi rękoma począł szukać dłoni królewskiej. Jan

Kazimierz zaś dłoni wprawdzie nie cofnął, lecz sposępniał i rzekł:

— Kto w tym kraju koronę nosi, niewyczerpaną winien mieć przebaczenia gotowość, przeto i tobie, zwłaszcza, żeś w Jasnej Górze i nam w drodze wiernie służył, a piersi nadstawiał, gotowiśmy winy odpuścić...

— Więc odpuść, miłościwy panie!... Skróć moją mękę!

— Jednego tylko nie możem ci zapomnieć, żeś, wbrew cnocie tego narodu, podniesieniem ręki na majestat dotąd nie skalanej, ofiarował się księciu Bogusławowi porwać nas, i żywych lub umarłych w szwedzkie ręce wydać!

Kmicic, choć przed chwilą sam mówił, że podnieść się niemocen, zerwał się z łoża, chwycił wiszący nad niem krucyfiks, i z wypiekami na twarzy, z oczyma płonącemi gorączką, dysząc-szybko, tak mówić począł:

— Na zbawienie duszy rodzica mego i mojej matki, na te rany Ukrzyżowanego, to nieprawda!... Jeśli do tego grzechu się poczuwam, niech Bóg mnie zaraz nagłą śmiercią i wiecznym ogniem ukarze! Panie mój, jeśli mi nie wierzysz, to zedrę owe bandaże, niech się krew moja wyleje, której reszty Szwedzi nie wypuścili. Nigdym się nie ofiarował. Nigdy taka myśl w głowie mojej nie postała... Za królestwa świata tego nie byłbym nigdy podobnego uczynku się dopuścił... Amen! na tym krzyżu, amen, amen!

I cały począł się trząść z uniesienia i gorączki.

— Więc książę zmyślił? — zapytał zdumiony król; — dlaczego? poco?

— Tak, miłościwy panie, zmyślił... To jego pomsta piekielna na mnie za to, com mu uczynił.

— Cóżeś mu uczynił?

— Porwałem go z pośród jego dworu, z pośród wszystkiego wojska, i chciałem związanego do nóg waszej królewskiej mości rzucić.

Król przeciągnął dłonią po czole.

— Dziw, dziw! — rzekł, — wierzę ci, ale nie pojmuję. Jakże to? Januszowi służyłeś, a Bogusława porywałeś, któren mniej zawinił, i chciałeś go związanego do mnie przywozić?...

Kmicic chciał odpowiedzieć, lecz król spostrzegł w tej chwili bladość jego i zmęczenie, więc rzekł:

— Odpocznij, a później mów wszystko od początku. Wierzym ci, oto nasza ręka!

Kmicic przycisnął ją do ust i przez jakiś czas milczał, bo mu tchu brakło, patrzył tylko w oblicze pana z niezmierną miłością, — lecz wreszcie zebrał siły i tak mówić począł:

— Opowiem wszystko od początku. Wojowałem z Chowańskim, ale i swoim byłem ciężki. W części musiałem ludzi krzywdzić i co mi było potrzeba brać, w części czyniłem to ze swawoli, bo się krew burzyła we mnie...

Kompanjonów miałem, godną szlachtę, ale nie lepszych ode mnie... Tu i owdzie kogoś się usiekło, tu i owdzie z dymem puściło... tu i owdzie batożkami po śniegu pognało... Wszczęły się hałasy. Gdzie jeszcze nieprzyjaciel nie dosięgnął, tam do sądów się udawano. Przegrywałem zaocznie. Wyroki zapadały jeden po drugim, alem sobie z tego nic nie robił, jeszcze djabeł mi pochlebiał i szeptał, żeby pana Łaszcza przewyższyć, któren wyrokami ferezję sobie podbić kazał, a przecie sławion był i dotąd imię jego sławne.

— Bo pokutował i umarł pobożnie — zauważył król.

Kmicic spocząwszy nieco, tak dalej mówił:

— Tymczasem pan pułkownik Billewicz — wielki to ród na Żmudzi ci Billewicze — wyzuł znikomą postawę i na lepszy świat się przeniósł, a mnie wioskę i wnuczkę zapisał. Nie dbam o wioskę, bo w ustawicznych podchodach pod nieprzyjaciela niemało się złupiło, i nietylko żem zagarniętą przez inkursję nieprzyjacielską fortunę restaurował, alem jej i przysporzył. Mam jeszcze w Częstochowie z tego tyle, że i dwie takie wioski mógłbym kupić, i nikogo o clileb nie potrzebuję prosić... Gdy jednak partja mi się sterała, pojechałem na zimowe leże w laudańską stronę. Tam dziewka nieboga tak mi do serca przywarła, żem o świecie Bożym zapomniał. Cnota i uczciwość jest w tej pannie taka, że mi

wstyd było wobec niej dawniejszych uczynków. Ona też do grzechu wrodzoną abominację mając, poczęła nastawać, abym dawny żywot porzucił, hałasy uciszył, krzywdy nagrodził i poczciwie żyć począł...

— I poszedłeś za jej radą?

— Gdzietam, miłościwy panie! Chciałem, coprawda, Bóg widzi, chciałem... Ale stare grzechy człowieka ścigają. Naprzód mi w Upicie żołnierzy poszarpano, za com miasto z dymem puścił...

— Na Boga! Toż to kryminał! — rzekł król.

— Nic to jeszcze, miłościwy panie! Potem mi kompanjonów, godnych kawalerów, chociaż swawolników, laudańska szlachta wysiekła. Nie mogłem nie pomścić, więcem tej samej nocy zaścianek Butrymów napadł, i ogniem i mieczem zabójstwo ukarałem... Ale mnie pobito, bo ich tam kupa szaraków siedzi. Musiałem się kryć. Dziewka już i patrzeć na mnie nie chciała, bo owi szaraczkowie byli jej ojcami i opiekunami, testamentem postanowionymi. A mnie serce tak do niej ciągnęło, że choć ty łbem tłucz! Nie mogąc bez niej żyć, zebrałem nową partję i zbrojną ręką ją wziąłem.

— Bogdaj cię!... I Tatar inaczej w zaloty nie chodzi!

•— Hultajska to była sprawa, przyznaję. To też mnie Bóg przez ręce pana Wołodyjow-

skiego pokarał, który zebrawszy ową szlachtę, dziewkę mi wydarł, a samego usiekł, tak, że ledwiem tam duszy nie wypuścił. Stokroćby to lepiej było dla mnie, bo nie byłbym się z Radziwiłłem sprzągł ku zgubie majestatu i ojczyzny. Ale jak mogło być inaczej? Wszczął się nowy proces... Kryminał, gardłowa sprawa. Sam już nie wiedziałem co czynić, gdy nagle wojewoda wileński przyszedł mi z pomocą.

— On cię osłonił?

— On mi list zapowiedni przez tegoż pana Wołodyjowskiego przysłał, a przez to pod inkwizycję hetmańską poszedłem i sądów mogłem się nie bać. Chwyciłem się tedy wojewody, jako deski zbawienia. Wnet postawiłem na nogi chorągiew z samych zabijaków, na całą Litwę znanych. Lepszej we wszystkiem wojsku nie było... Poprowadziłem ją do Kiejdan. Tam Radziwiłł jak syna mnie przyjął, pokrewieństwo przez Kiszków przypomniał, i osłonić obiecał. Miał już swoje widoki... Trzeba mu było rezolutów na wszystko gotowych, a ja, prostak, jako na lep lazłem. Nim jego zamysły wyszły nawierzch, kazał mi na krucyfiksie poprzysiąc, że go nie opuszczę w żadnym terminie. Myśląc, że o wojnę ze Szwedami, albo z Septentrjonami chodzi, przysiągłem chętnie. Aż nastała owa uczta straszna, na której ugodę kiejdańską podpisano. Zdrada okazała się jawnie. Inni pułków-

nicy buławy hetmanowi pod nogi ciskali, a mnie przysięga, jako psa łańcuch, trzymała i nie mogłem go odstąpić...

— Alboż nie przysięgli na wierność nam ci wszyscy, którzy nas potem odstąpili?... — rzekł ze smutkiem król.

— Ja też, choć buławy nie rzuciłem, nie chciałem w zdradzie rąk maczać. Com wycierpiał, miłościwy panie, Bóg jeden wie. Wiłem się z boleści, jakby mnie żywym ogniem palono, bo i dziewka moja, chociaż już po owym rapcie traktat między nami stanął, teraz mnie zdrajcą okrzyknęła, jako plugawym gadem pogardziła... A jam przysiągł, jam przysiągł nie opuszczać Radziwiłła... O! ona, miłościwy panie, choć niewiasta, rozumem męża zawstydzi, a w wierności dla waszej królewskiej mości nikomu nie da się wyprzedzić!

— Boże jej błogosław! — rzekł król. — Za to ją kocham!

— Ona myślała, że mnie na partyzanta majestatu i ojczyzny przerobi, a gdy na nic poszła ta robota, wtedy tak się na mnie zawzięła, że ile było dawniej afektu, tyle nienawiści powstało. Tymczasem Radziwiłł zawołał mnie przed siebie i jął przekonywać. Wyłuszczył mi jako dwa a dwa cztery, że dobrze uczynił, że w ten tylko sposób mógł ojczyznę upadającą ratować. Nawet i nie potrafię powtórzyć jego racyj, tak były wielkie, taką szczęśliwość ojczyźnie obiecywały! Stokroć mędrszego byłby

przekonał, a cóż dopiero mnie, prostaka, żołnierza, — on, taki statysta! To mówię waszej królewskiej mości, żem się go chwycił obu rękoma i sercem, bom myślał, że wszyscy ślepi, tylko on jeden prawdę widzi, wszyscy grzeszni, jeno on jeden zacny. I byłbym za niego w ogień skoczył, jako teraz za waszą królewską mość, bo ni przez pół służyć, ni przez pół miłować nie umiem...

— Widzę, że to tak jest! — zauważył Jan Kazimierz.

— Posługi oddałem mu znaczne, — mówił ponuro Kmicic, — i to mogę rzec, że gdyby nie ja, toby i owa zdrada żadnych fruktów jadowitych wydać nie mogła, bo jego własne wojsko na szablachby go rozniosło. Już się do tego miało. Już szli dragoni i węgierskie piechoty i lekkie znaki, już jego Szkotów na szable brali, gdym ja skoczył z mymi ludźmi i starłem ich w mgnieniu oka. Ale zostały inne chorągwie na konsystencjach stojące. I te znosiłem. Jeden pan Wołodyjowski z więzienia się wydobył i swoich laudańskich ludzi na Podlasie cudem i nadludzką rezolucją wywiódł, aby się z panem Sapiehą połączyć. Niedobitkowie zebrali się tam w znacznej liczbie, ale co przedtem dobrych żołnierzów zginęło za moją przyczyną — Bóg jeden zliczy. Jako na spowiedzi prawdę wyznaję... Pan Wołodyjowski w przejściu na Podlasie samego mnie pochwycił i żywić nie chciał. Ledwiem z jego

rąk wyszedł, za przyczyną listów, które przy mnie znaleźli, a z których okazało się, że gdy jeszcze był w więzieniu i gdy książę chciał go rozstrzelać, tom ja za nim instancję natarczywie wnosił. Puścił mnie tedy wolno, ja zaś wróciłem do Radziwiłła i służyłem dalej. Ale już mi gorzko było, już się dusza we mnie na niektóre uczynki księcia wzdrygała, bo niemasz w nim ani wiary, ani uczciwości, ani sumienia, a ze słowa własnego tyle sobie robi, ile król szwedzki. Począłem mu tedy skakać do oczu. On też burzył się przeciw mej zuchwałości. Nakoniec mnie z listami wyprawił...

— Dziw, jak ważne rzeczy mówisz — rzekł król. — Przynajmniej raz wiemy od naocznego świadka, który pars magna fuit, jak się to tam odbyło...

— Prawda, że pars magna fui — odpowiedział Kmicic. — Ruszyłem z listami ochotnie, bom już nie mógł na miejscu usiedzieć. W Pilwiszkach napotkałem księcia Bogusława. Bodaj go Bóg wydał w moje ręce, do czego wszystkich sił przyłożę, aby go za oną potwarz pomsta moja nie minęła! Nietylko, żem mu się z niczem nie ofiarował, miłościwy panie, nietylko to jest łgarstwo bezecne, alem się właśnie tam nawrócił, nagą całą bezecność tych heretyków ujrzawszy.-

— Powiadaj żywo, jak to było, bo nam tu przedstawiano, jakoby książę Bogusław z musu jeno bratu sekundował.

— On?, miłościwy panie! On gorszy od Janusza, a w czyjej się głowie naprzód zdrada wylęgła? Czy nie on pierwszy księcia hetmana skusił, koronę mu ukazując? Bóg to na 6ądzie rozstrzygnie. Tamten przynajmniej symulował i bono publico się zasłaniał, Bogusław zaś, wziąwszy mnie za arcyszelmę, całą duszę mi odkrył. Strach powtarzać, co mi rzekł... „Rzeczpospolitą waszą (powiada) djabli muszą wziąć, ale to postaw czerwonego sukna, my zaś nietylko do ratunku ręki nie przyłożym, lecz jeszcze ciągnąć będziem, by nam się najwięcej w garści zostało... Litwa nam (powiada) musi zostać, a po bracie Januszu ja czapkę wielkoksiążęcą wdzieję, z jego się córką ożeniwszy“.

Król zasłonił sobie oczy.

— Męko Pana naszego! — rzekł. — Radziwiłłowie, Radziejowski, Opaliński... Jakże się nie miało stać, co się stało!... Korony im było trzeba, choćby rozerwać to, co Bóg złączył...

— Zdrętwiałem i ja, miłościwy panie! Wodęm na łeb lał, by nie oszaleć. Ale się dusza zmieniła we mnie w jednej chwili, jakoby w nią piorun trząsł.. Sam się roboty własnej przeląkłem. Nie wiedziałem, co czynić... Czy Bogusława, czy siebie nożem pchnąć?... Ryczałem jak dziki zwierz, bo w taką matnię mnie zapędzono!... Już nie służby dalszej u Radziwiłłów, lecz pomsty pragnąłem... Bóg nagle dał mi myśl: poszedłem z kilku ludźmi

do kwatery księcia Bogusława, wywiodłem go za miasto, porwałem za łeb i do konfederatów chciałem wieźć, by się do nich i do służby waszej królewskiej mości wkupić za cenę jego głowy.

— Wszystko ci przebaczam! — krzyknął król — bo cię obłąkali, aleś im wypłacił! Jeden Kmicic mógł się na to zdobyć, nikt więcej. Wszystko ci za to przebaczam i z serca odpuszczam, jeno powiadaj żywo, bo mnie ciekawość pali: wyrwał się?

— Przy pierwszej stacji wyrwał mi krócicę z za pasa... i w gębę strzelił... Ot! ta blizna... Ludzi moich pobił sam jeden i uszedł... Rycerz to znamienity... trudno przeczyć; ale się spotkamy jeszcze, choćby to miała być ostatnia moja godzina!...

Tu Kmicic jął szarpać kołdrę, którą był okryty, lecz król przerwał prędko:

— I przez zemstę wymyślił na ciebie ów list?

— I przez zemstę przysłał ten list. Z rany się w lesie podgoiłem, ale dusza gorzej bolała... Do Wołodyjowskiego, do konfederatów, nie mogłem już iść, bo laudańscy na szablachby mnie roznieśli... Wszelako wiedząc, że książę hetman ma przeciw nim ciągnąć, ostrzegłem ich, by się kupy trzymali. I to był pierwszy mój dobry uczynek, bo inaczej byłby ich Radziwiłł chorągiew po chorągwi wygniótł, a teraz oni jego zmogli i w oblężeniu,

jak słyszę, trzymają. Niechże im Bóg pomaga, a na niego karę ześle, amen!

— Może już się to stało, a jeśli nie, to stanie się pewnie — rzekł król. — Cóżeś dalej robił?

— Postanowiłem, nie mogąc u konfederatów waszej królewskiej mości służyć, do osoby jego się dostać i tam wiernością dawne winy odpokutować. Ale jakże miałem iść? Ktoby Kmicica przyjął? ktoby mu uwierzył? ktoby go zdrajcą nie zakrzyknął? Więcem Babinicza imię przybrał, i całą Rzeczpospolitą przejechawszy, do Częstochowy się dostałem. Czylim tam jakie zasługi położył, niech ksiądz Kordecki zaświadczy. Dniem i nocą myślałem tylko o tem, by szkody ojczyźnie nagrodzić, krew za nią wylać, samemu do sławy i uczciwości powrócić. Resztę już, miłościwy panie, wiesz, boś na nią patrzył. A jeśli ojcowskie dobrotliwe serce do tego cię skłania, jeśli ona nowa służba dawne grzechy przeważyła, albo choć zrównała, to przyjm mnie, panie, do łaski swej i do serca, bo mnie wszyscy odstąpili, bo nikt mnie nie pocieszy prócz ciebie... Ty, panie, jeden widzisz mój żal i moje łzy!... Jam banit, jam zdrajca, jam krzywoprzysięzca, a przecie, panie, ja miłuję tę ojczyznę i twój majestat... i Bóg widzi, że chcę służyć wam obojgu!

Tu łzy rzewne puściły się z oczu junaka i aż zanosił się z płaczu, a król, ojciec dobro-

tliwy, chwycił go za głowę, począł eałować w czoło i pocieszać:

— Jędrek! takiś mi miły, jako syn rodzony... Com ci mówił? Żeś zgrzeszył w zaślepieniu, — a iluż grzeszy z rozmysłem?... Z serca odpuszczam ci wszystko, boś już winy zmazał. Uspokój się, Jędrek! Niejeden radhy się takiemi zasługami, jako są twoje, poszczycić... Boga mi! I ja odpuszczam i ojczyzna odpuszcza, jeszcze ci dłużni będziemy ! Przestań lamentować.

— Bóg niech waszej królewskiej mości da wszystko dobre za takową kompasję! — mówił ze łzami rycerz. — Przecie ja i tak jeszcze, miłościwy panie, muszę odpokutować na tamtym świecie za oną przysięgę Radziwiłłowi daną, bo chociażem nie wiedział, na com przysięgał, przecie przysięga przysięgą.

— Nie potępi cię Bóg za nią, — odrzekł król, — bo musiałby chyba pół Rzeczypospolitej do piekła wysłać, tych wszystkich mianowicie, którzy nam wiarę złamali.

— Myślę i ja, miłościwy królu, że do piekła nie pójdę, bo mi za to i ksiądz Kordecki zaręczał, choć nie był pewien, czy mnie i czyściec minie. Ciężka to rzecz z jakie sto lat się prażyć... No, ale niechby tam już! Siła człek zniesie, gdy mu nadzieja zbawienia świeci, a przytem i modlitwy mogą coś wskórać i mękę skrócić.

— Jeno się nie troskaj! — rzecze Jan Ka-

zimierz. — Wyrobię ja to u samego nuncjusza, by mszę na twoją, intencję odprawił... Przy takich promocjach nie stanie ci się wielka krzywda... Ufaj w miłosierdzie Boże!

Kmicic uśmiechnął się już przez łzy.

— Jeszcze też, — rzekł, — da Bóg do sił wrócić, to się i z niejednego Szweda duszę wyłusknie, a przez to nietylko w niebie będzie zasługa, ale się i ziemską reputację poprawi.

— Bądź dobrej myśli i o sławę doczesną się wcale nie turbuj. Ja w tem, by cię nie ominęło, co należy. Przyjdą spokojniejsze czasy, sam będę zasługi twe promulgował, które już są niemałe, a pewno będą jeszcze większe. I na sejmie, da Bóg, ową materję każę poruszyć, a tak do czci powrócon być musisz.

— Bo to, mój miłościwy panie i ojcze, niech się jeno uspokoi trochę, albo i przedtem jeszcze, sądy mnie będą szarpały, od czego mnie i powaga waszej królewskiej mości osłonić nie zdoła. Ale już mniejsza z tem!... Nie dam się, dopóki pary w nozdrzach, a szabli w garści... Jeno mi o tę dziewkę chodzi. Oleńka jej na imię, miłościwy panie! Oj, siła czasu się jej nie widziało! Oj, siła przecierpiało się bez niej i przez ni;j, a choć człek sobie czasem chce ją wybić z serca i z afektem jako z niedźwiedziem się boryka, na nic to, bo, taki syn, nie puszcza!

Jan Kazimierz rozśmiał się wesoło i dobrotliwie.

— Cóż ja ci na to, nieboże, poradzę?

— Któż poradzi, jeśli nie wasza królewska mość? ! Zabita to regalistka z tej dziewki i nigdy mi ona moich kiejdańskich uczynków nie daruje, chybabyś wasza królewska mość sam instancję wniósł za mną i dał mi świadectwo, jakom się odmienił i do służby majestatu i ojczyzny powrócił, nie przymuszon, chlebami [1] żadnemi nie skaptowan, ale z własnej woli i skruchy.

— Jeślić o to chodzi, to i ja instancję wniosę, a jeśli ona taka regalistka, jako powiadasz, to i instancja powinna być skuteczna. Byle tylko dziewka wolna była i byle ją zła jakowa przygoda, jak to w czasie wojennym często się trafia, nie spotkała...

— Anieli ją ustrzegą!

•— Bo tego i warta. Żeby cię zaś sądy nie szarpały, uczynisz tak: Będą teraz nagwałt iść zaciągi; skoro, jak mówisz, bezecność na tobie cięży, nie mogę ci dać listu zapowiedniego jako Kmicicowi, ale dam ci list jako Babiniczowi; będziesz zaciągał i ty, co i na pożytek ojczyźnie wyjdzie, boś widać żołnierz ognisty i doświadczony... Ruszysz w pole pod panem kasztelanem kijowskim; pod nim o śmierć najłatwiej, ale i o okazję do sławy najłatwiej. A zajdzie potrzeba, to i na swoją rękę zacz-

[1] tu: nagrodami.

niesz Szwedów podchodzić, jakoś Chowańskiego podchodził. Twoje nawrócenie i dobre uczynki poczęły się od tego, żeś się Babiniczem przezwał... Zwijże się tak i dalej, to i sądy ostawią cię w spokoju. A gdy jak słońce zajaśniejesz, gdy o twoich zasługach w całej Rzeczypospolitej będzie głośno, wtedy niech się ludzie dowiedzą, kto jest ów przesławny kawaler. Jaki taki zawstydzi się wówczas tak wielkiego rycerza przed sądy ciągać... Przez ten czas drudzy poginą, trzecich załagodzisz... Niemało i aktów się zawieruszy, a ja ci to jeszcze raz przyrzekam, że zasługi twoje pod niebo wyniosę i sejmowi do nagrody przedstawię, boś w moich oczach już wart tego.

— Miłościwy panie!... Czym ja na tyle łaski zasłużył?

— Więcej, niż niejeden, który myśli, że ma do niej prawo. No, no! nie frasujże się, miły regalisto, bo tak ufam, że i regalistka cię nie minie, a da Bóg, to mi wkrótce więcej jeszcze regalistów przysporzycie...

Kmicic, choć chory, zerwał się nagle z łoża i padł jak długi do nóg królewskich.

— Na Boga! co czynisz? — zawołał król. — Krew cię ujdzie! Jędrek!... Bywaj-no tu kto!

Wpadł sam marszałek, który oddawna już po zamku króla szukał.

— Święty Jerzy! patronie mój, co widzę? ! — krzyknął, spostrzegłszy króla, dźwigającego własnemi rękoma Kmicica.

— To pan Babinicz, najmilszy mój żołnierz i najwierniejszy sługa, który mi wczoraj życie ocalił — rzekł król. — Pomóżcie, panie marszałku, dźwignąć mi go na łoże...

## ROZDZIAŁ VIII.

Z Lubowli jechał król do Dukli, Krosna, Łańcuta i Lwowa, mając przy boku pana marszałka koronnego, wielu biskupów, dygnitarzy i senatorów, wraz z nadwornemi chorągwiami i pocztami. A jako rzeka potężna, płynąc przez kraj, wszystkie pomniejsze wody w siebie zabiera, tak i do orszaku królewskiego przybywały co chwila nowe zastępy. Cisnęli się więc panowie i szlachta zbrojna i żołnierze, to pojedynczo, to kupami, i gromady zbrojnego chłopstwa, szczególną ku Szwedom pałającego zawziętością.

Już ruch stawał się powszechny, już i ład wojenny poczęto do niego wprowadzać. Pojawiły się groźne uniwersały, datowane z Sącza: jeden Konstantego Lubomirskiego, marszałka koła rycerskiego; drugi Jana Wielopolskiego, kasztelana wojnickiego: oba wzywające szlachtę w województwie krakowskiem do pospolitego ruszenia. Wiedziano już, koło kogo się kupić; nie stawiającym się zaś groziły kary wedle pospolitego prawa. Uniwersał królewski dopełnił onych wezwań i najleniwszych postawił na nogi.

Lecz nie potrzeba było gróźb, albowiem zapał niezmierzony ogarnął wszystkie stany. Siadali na koń starcy i dzieci. Niewiasty oddawały klejnoty, stroje; niektóre same rwały się do boju.

W kuźniach Cygani przez noce i dnie całe bili młotami, przekuwając na oręż niewinne narzędzia oraczów. Wsie i miasta opustoszały, bo mężowie wyciągnęli w pole. Z niebotycznych gór sypały się dzień i noc gromady dzikiego ludu. Siły króla rosły z każdą chwilą.

Naprzeciwko jego osoby wychodzili duchowni z krzyżami i chorągwiami, kahały żydowskie z rabinami; pochód jego był do niezmiernego triumfu podobny. Zewsząd nadlatywały najlepsze wieści, jakby je wiatr przywiewał.

Nietylko w tej części kraju, której najście nieprzyjaciół nie zagarnęło, rwano się do broni. Wszędy, w najodleglejszych ziemiach i powiatach, po grodach, wsiach, osadach, niedostępnych puszczach, podnosiła płomienną głowę straszliwa wojna pomsty i odwetu. Im niżej poprzednio upadł naród, tern wyżej teraz podnosił głowę, przeradzał się, ducha zmieniał — iw uniesieniu nie wahał się nawet własnych, zaskorupiałych ran rozrywać, by krew swą od zatrutych soków uwolnić.

Już też i coraz głośniej mówiono o potężnym związku szlachty i wojska, na czele którego miali stanąć: stary hetman wielki Re-

wera Potocki, i polny, Lanckoroński, wojewoda ruski, i pan Stefan Czarniecki, kasztelan kijowski, i pan Paweł Sapieha, wojewoda witebski, i książę krajczy litewski Michał Radziwiłł, pan możny, a niesławę, jaką na ród ściągnął Janusz, zatrzeć pragnący, i pan Krzysztof Tyszkiewicz, wojewoda czernihowski, i wielu innych — senatorów i urzędników ziemskich i wojskowych i szlachty.

Listy latały codzień pomiędzy owymi panami a panem marszałkiem koronnym, który nie chciał, aby tak znamienity związek bez niego się zawiązywał. Wieści przychodziły coraz pewniejsze, aż nakoniec rozebrzmiała wieść już pewna, że hetmani, a z nimi wojsko porzucili Szweda i że dla obrony majestatu i ojczyzny stanęła konfederacja tyszowiecka.

Król także pierwej o niej wiedział, bo oboje z królową, choć zdała będąc, niemało się nad jej zawiązaniem przez posły i listy napracowali; jednakże nie mogąc w niej brać osobistego udziału, niecierpliwie teraz nadejścia jej tenoru [1] wyglądał. J akoż zanim dojechał do Lwowa, przybyli doń pan Służewski i pan Domaszewski z Domaszewnicy, sędzia łukowski, przywożąc mu zapewnienia służb i wierności od konfederatów i akt związku do roborowania.

---

[1] treści.

Czytał tedy król ów akt na walnej radzie z biskupami i senatorami. Serca wszystkich napełniały się radością, dusze uniosły się w podzięce do Boga, bo owa wiekopomna konfederacja zwiastowała nietylko opamiętanie się, ale i odmianę tego narodu, o którym niedawno jeszcze mógł obcy najezdnik powiedzieć, że niemasz w nim wiary, ani miłości do ojczyzny, ani sumienia, ani ładu, ani wytrwania, ani żadnej z tycli cnót, któremi stoją państwa i narody.

Świadectwo tych wszystkich cnót leżało teraz przed królem w postaci aktu konfederacji i jej uniwersału. Przywodzono w nim wiarołomstwo Karola Gustawa, łamanie przysiąg i obietnic, okrucieństwa jenerałów i żołnierzy, przez najdziksze narody nawet nie praktykowane, bezczeszczenie kościołów, ucisk, zdzierstwa, rabunki, przelewanie krwi niewinnej — i wypowiadano wojnę na śmierć i życie skandynawskim najezdnikom. Uniwersał, groźny jak trąba archanioła, zwoływał pospolite ruszenie nietylko rycerstwa, ale wszystkich stanów i ludów Rzeczypospolitej. „Nawet infames wszyscy (mówił uniwersał), banniti i proscripti 1 iść na tę wojnę powinni“. Rycerstwo miało na koń siadać, własnych piersi nadstawiać i z łanów żołnierzy pieszych dostarczyć, możniejszy więcej, biedniejszy mniej, według możności i sił.

---

[1] skazani na wygnanie i wyjęci z pod prawa.

„Ponieważ w tein państwie aeque bona i mala [1] do wszystkich należą, więc i niebezpieczeństwy wszystkim podzielić się godzi. Ktokolwiek mieni się być szlachcicem, osiadły lub nieosiadły, by też i najwięcej u jednego szlachcica synów było, na tę wojnę przeciw nieprzyjacielowi Rzeczypospolitej iść powinni. Gdyż jako wszyscy, niższego i wyższego urodzenia, szlachtą będąc, ad omnes prerogativas [2] urzędów, dostojeństw i dobrodziejstw ojczystych jesteśmy capaces [3], tak i w tem aequales[4] sobie będziemy, że na obronę tych ojczystych swobód i beneficiorum [5] zarówno osobami swemi pójdziemy...“

Tak to ów uniwersał równość szlachecką rozumiał. Król, biskupi i senatorowie, którzy zdawna się już w sercach z myślą naprawy Rzeczypospolitej nosili, przekonali się ze zdumieniem radosnem, że i naród do owej naprawy dojrzał, że gotów wstąpić na nowe drogi, zetrzeć rdzę i pleśń z siebie, i nowe, wspaniałe rozpocząć życie.

„Otwieramy przytem (brzmiał uniwersał) benemerendi in Republica [6] plac każdemu plebejae conditionis[7], ukazujemy i ofiarujemy wedle tego związku naszego okazję przystępu i nabycia honorów, prerogatyw i be-

[1] zarówno dobra, jak i zła dola. [2] do wszystkich przywilejów. [3] uprawnieni. [4] równi. [5] dobrodziejstw. [0] zasługiwania się około Rzeczypospolitej. [7] z ludu.

neficiorum, któremi gaudet[1] stan szlachecki...“

Gdy na radzie królewskiej odczytano ten ustęp, zapadło aż milczenie głębokie. Ci, którzy wraz z królem pragnęli najmocniej, aby przystęp do praw szlacheckich został ludziom niższych stanów otworzony, mniemali, że niemało im przewalczyć, przecierpieć i nałamać się przyjdzie, że lata całe upłyną, nim z czemś podobnem odezwać się będzie bezpiecznie, — tymczasem sama owa szlachta, tak dotąd o swe prerogatywy zazdrosna, tak pozornie nieużyta, otwierała narozcież wrota szarym gromadom kmiecym.

Wstał książę prymas, owiany jakby duchem proroczym i rzekł:

— Iżeście owo punctum[2] zamieścili, potomni tę konfederację po wiek wieków wysławiać będą, a gdy kto zechce czasy owe za czasy upadku staropolskiej cnoty uważać, tedy mu na was, przecząc, pokażą.

Ksiądz Gębicki był chory, więc mówić nie mógł, tylko ręką trzęsącą się ze wzruszenia żegnał akt i posłów.

— Już widzę nieprzyjaciela, ze wstydem z tych ziem uchodzącego! — rzekł król.

— Daj Boże najprędzej!... — zakrzyknęli obaj wysłańcy.

---

[1] cieszy się. [2] tu: ustęp.

— Waszmościowie pojedziecie z nami do Lwowa, — ozwał się znowu król, — gdzie zaraz ową konfederację roborować będziemy, a przytem i innej zawrzeć nie omieszkamy, której same potęgi piekielne przemóc nie zdołają.

Spojrzeli na to po sobie wysłańcy i senatorowie, jakby pytając się wzajem, o jaką to potęgę chodzi, lecz król milczał, tylko mu twarz promieniała coraz bardziej; wziął znowu akt do ręki, i znów czytał i uśmiechał się, nagle rzekł:

— Siła też było oponentów?

— Miłościwy panie, — odpowiedział pan Domaszewski, — unanimitate ta konfederacja powstała za przyczyną ichmość panów hetmanów, pana wojewody witebskiego i pana Czarnieckiego, a ze szlachty żaden głos się nie przeciwił, tak się wszyscy na Szwedów rozjedli i takim afektem dla ojczyzny i majestatu zapłonęli.

— Zgóryśmy przytem uradzili, — dodał pan Służewski, — że to nie ma być sejm, jeno pluralitas[1] ma stanowić, więc niczyje veto nie mogło sprawy popsować, jeno oponenta bylibyśmy na szablach roznieśli. Wszyscy też powiadali, że trzeba z onem liberum veto [2] skończyć, bo to jednemu wola, a wielu niewola.

---

[1] większość. [2] ustawę, pozwalającą niezadowolonemu posłowi zerwać cały sejm.

— Złote słowa waszmości! — rzekł ksiądz prymas. — Niech jeno poprawa Rzeczypospolitej nastąpi, a nie ustraszy nas żaden nieprzyjaciel.

— A gdzie jest wojewoda witebski? — pytał król.

— Jeszcze na noc po podpisaniu aktu do swego wojska odjechał pod Tykocin, w którym księcia wojewodę wileńskiego, zdrajcę, w oblężeniu trzyma. Do tej pory rnusiał go już dostać żywego albo umarłego.

— Także był pewien, że go dostanie?

— Tak był pewien, jako, że po dniu noc nastąpi. Wszyscy, nawet najwierniejsi słudzy już zdrajcę opuścili. Broni się tam tylko garść Szwedów, ale nieznaczna, a posiłki znikąd przyjść nie mogą. Powiadał pan Sapieha w Tyszowcach tak: „Chciałem się jeden dzień spóźnić, bo byłbym do wieczora z Radziwiłłem skończył!... Ale to pilniejsza sprawa, niż Radziwiłł, gdyż jego i beze mnie mogą dostać, dość będzie jednej chorągwi“.

— Chwała Bogu! — rzekł król. — A gdzie pan Czarniecki?

— Tyle się do niego szlachty, co najsłuszniejszych kawalerów sypnęło, że w jeden dzień na czele grzecznej chorągwi stanął. Zaraz też na Szwedów ruszył, a gdzieby teraz był, nie wiemy.

— A ichmość panowie hetmani?

— Ichmość panowie hetmani pilno czekają

rozkazów waszej królewskiej mości, obaj zaś radzą nad przyszłą wojną i z panem starostą kałuskim w Zamościu się znoszą, a tymczasem codzień pułki ku nim razem ze śniegiem walą.

— Także to wszyscy Szweda porzucają?

— Tak jest, miłościwy panie! Byli też u ichmość panów hetmanów deputaci z wojska pana Koniecpolskiego, które jest przy osobie Carolusa Gustawa. I ci pono radziby już wrócić do prawej służby, choć im tam Carolus obietnic ni pieszczot nie szczędzi. Mówili też, że choć teraz nie mogą zaraz recedere, przecie to uczynią, jak się tylko dogodna pora zdarzy, bo się już im sprzykrzyły i uczty i jego pieszczoty i mruganie oczami i rąk klaskanie. Ledwie już wytrzymać mogą.

— Zewsząd opamiętanie, zewsząd dobre wieści — rzekł król. — Chwała Pannie Najświętszej!... Dzień to najszczęśliwszy mego życia, a drugi taki nastąpi chyba wówczas, gdy ostatni nieprzyjacielski żołnierz wyjdzie z granic Rzeczypospolitej.

Na to pan Domaszewski uderzył się po szerpentynie.

— Nie daj Bóg, aby się to stało! — rzekł.

— Jakto? — spytał ze zdumieniem król.

— Żeby ostatni pludrak na własnych nogach wyszedł z granic Rzeczypospolitej? Nie może być, miłościwy panie! A od czego mamy szable przy bokach?

— Bodaj waści! — rzeki rozweselony pan. — To mi fantazja!

Lecz pan Służewski, nie chcąc pozostać wtyle za panem Domaszewskim, zawołał:

— Jako żywo, niema na to zgody i pierwszy veto położę. Nie będziem się ich wyjściem kontentować, ale za nimi pójdziemy!

Ksiądz prymas począł głową kręcić i śmiać się dobrotliwie:

— Oj! siadła szlachta na koń i jedzie, jedzie! Boże wam błogosław, — ale powoli, powoli! Jeszczeć ten nieprzyjaciel w granicach !

— Niedługo mu już! — zakrzyknęli obaj konfederaci.

— Duch się odmienił i fortuna się odmieni — rzekł osłabionym głosem ksiądz Gębicki.

— Wina! — zawołał król. — Niechże się na odmianę z konfederatami napiję!

Przyniesiono wina, lecz wraz z pachołkami, którzy je wnieśli, wszedł starszy pokojowiec królewski i rzekł:

— Miłościwy panie, przyjechał pan Krzysztoporski z Częstochowy i pragnie się waszej królewskiej mości pokłonić.

— Dawaj go żywcem! — zawołał król.

Po chwili wszedł wysoki, chudy szlachcic, patrzący, jak kozioł, zpodełba. Skłonił się naprzód panu do nóg, potem dość hardo dygnitarzom, i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odpowiedział król. — Co tam słychać?

— Mróz okrutny, miłościwy panie, aże powieki do jagód przymarzają!

— Dla Boga! o Szwedach waść powiadaj, nie o mrozie! — zawołał Jan Kazimierz.

— A co o nich i gadać, miłościwy panie, kiedy ich pod Częstochową niema! — odrzekł rubasznie pan Krzysztoporski.

— Doszły już nas te wieści, doszły, — odparł uradowany król, — ale tylko z ludzkiego gadania, a wy z samego klasztoru pewnie jedziecie... Naoczny świadek i obrońca?

— Tak jest, miłościwy panie, uczestnik obrony i naoczny świadek cudów Najświętszej Panny...

— Nie tu granica Jej łask! — rzekł król, wznosząc oczy ku niebu — jeno zasłużmy na dalsze...

— Siła w życiu widziałem, — odpowiedział Krzysztoporski, — ale takich widomych cudów nie widziałem, o czem dokładniejszą relację zdaje waszej królewskiej mości ksiądz Kordecki w tern piśmie.

Jan Kazimierz chwycił skwapliwie za list, który mu Krzysztoporski podawał, i począł czytać. Chwilami przerywał czytanie i poczynał się modlić, to znów wracał do listu. Twarz mieniła mu się radosnemi uczuciami; nako-

nieć podniósł znów oczy na Krzysztoporskiego :

— Pisze mi ksiądz Kordecki, — rzekł, — iżeście wielkiego kawalera stracili, niejakiego Babinicza, który kolubrynę szwedzką prochami rozsadził?

— On-że się za wszystkich ofiarowały miłościwy panie! Ale są też tacy, którzy mówili, że żyje, i Bóg wie co powiadali; nie mając pewności, przecieśmy go nie przestali opłakiwać, bo gdyby nie jego kawalerski postępek, ciężkoby nam było dać sobie rady...

— Jeśli tak, to przestańcie go opłakiwać: pan Babinicz żywię i jest u nas. On to pierwszy dał nam znać, że Szwedzi, nie mogąc nic przeciw mocy Boskiej wskórać, o odstąpieniu zamyślają... A potem tak nam znaczne oddał przysługi, iż sami nie wiemy, jak go wynagrodzić.

— 0, to się ksiądz Kordecki ucieszy ! — zawołał z radością szlachcic; — ale jeśli pan Babinicz żywię, to chyba szczególniejsze u Najświętszej Panny ma łaski... To się ksiądz Kordecki ucieszy! Ojciec syna nie może tak miłować, jak on jego miłował! A i mnie pozwoli wasza królewska mość pana Babinicza powitać, gdyż takiego drugiego rezoluta niemasz w Rzeczypospolitej !

Lecz król począł znowu czytać i po chwili zawołał :

— Co słyszę! To jeszcze raz po ustąpieniu próbowali klasztor podejść?

— Müller jak odszedł, tak cię i nie pokazał więcej, jeno Wrzeszczowićz zjawił się znów niespodzianie pod murami, dufając w to widocznie, że bramy zastanie otwarte. Jakoż i zastał, ale się chłopstwo tak zaciekle na niego rzuciło, że zaraz sromotnie tył podał. Jak świat światem, nie było tego, żeby prostactwo tak mężnie w gołem polu jeździć stawało. Potem też nadciągnął pan Piotr Czarniecki z panem Kuleszą, którzy doszczętu go znieśli.

Król zwrócił się do senatorów:

— Patrzcie wasze uprzejmoście, jako nędzni oracze w obronie tej ojczyzny i świętej wiary stawają!

— Że stawają, miłościwy panie, to stawają! — zawołał Krzysztoporski. — Całe wsie wedle Częstochowy puste, bo chłopstwo z kosami w polu. Wojna wszędy okrutna; Szwedzi muszą się kupami trzymać, a złapie-li chłopstwo którego, to tak nad nim wydziwia i, że lepiejby mu odrazu iść do piekła. Kto tam wreszcie teraz w tej Rzeczypospolitej za oręż nie chwyta! Nie było psubratom Częstochowy oblegać... Od tego czasu nie siedzieć im w tej ziemi!

— Od tego czasu nie będą w tej ziemi uci-

[1] tu: znęca.

sku znosić ci, którzy krwią się oponują, — odrzekł poważnie król; — tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż!

■— Amen! [1]— dodał prymas.

Tymczasem Krzysztoporski uderzył się ręką w czoło:

— Mróz mi mentem pomieszał, miłościwy panie, — rzekł, — bom zapomniał jednej wieści powiedzieć, że taki syn, wojewoda poznański, zmarł, jakoby nagle.

Tu zawstydził się nieco pan Krzysztoporski, spostrzegłszy się, jak wielkiego senatora nazwał wobec króla i dygnitarzy „takim synem“, więc dodał zmieszany:

— Nie zacny stan, lecz zdrajcę chciałem spostponować.

Ale nikt tego wyraźnie nie zauważył, bo wszyscy patrzyli na króla, ten zaś rzekł:

— Jużeśmy dawno pana Leszczyńskiego na województwo poznańskie przeznaczyli, jeszcze za życia pana Opalińskiego. Niechże godniej ten urząd piastuje... Sąd Boski, widzę, rozpoczął się nad tymi, którzy tę ojczyznę do upadku przywiedli, bo w tej chwili może już i książę wojewoda wileński przed Najwyższym Sędzią sprawę ze swoich uczynków zdaje...

Tu zwrócił się do biskupów i senatorów:

— Ale nam czas o wojnie powszechnej myśleć i w tej materji pragnę zasięgnąć zdania waszych mościów.

DRUKARNIA OSSOLINEUM LWÓW